NUMER 4. ROCZNIK II. KWIECIEŃ 1898.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(ŚW. FRANCISZEK Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku, dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św. LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia* 9go *maja* 1876 *r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Rożańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś *i* 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties**, *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Maj.

1. **Św. Apostołów Filipa i Jakóba.**
6. **Św. Jana w Oleju.**
17. **Św. Paschalisa Baylon.**
18. **Św. Feliksa z Cantalice.**
20. **Św. Bernardyna z Sieny.**
24. **Święto Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.**
28. **Św. Ferdynanda, króla Kastylii.**
31. **Św. Anieli Merici.**

MODLITWA
NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy,** *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa,** *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące.)

MISYE SALEZYAŃSKIE

w

wikaryacie apostolskim

Mendez y Gualaquiza

(rzeczpospolita Ecuador).

Wpierw nim zaczniemy opowiadać o niniejszej misyi, powierzonej synom księdza Bosko, uważamy za właściwe, opis jej poprzedzić krótkim rysem historyczno-geograficznym okolic, w których ona się odbywa, i samegoż nowoutworzonego wikaryatu.

Rzeczpospolita Ecuador, w kierunku z północy ku południowi, przecięta jest pasmem niebotycznych gór, zwanych *Cordilleras de los Andes*, które, jak się wyraża jeden z nowszych badaczy owych stron, misyonarz O. Pierre, Dominikanin, *) *„piętrzą się nakształt olbrzymiej ściany, lub niezdobytej warowni.“* Na zachód, w żyznych dolinach, na płaskowyżach, położonych między obydwoma głównymi łańcuchami *Kordylierów* i na pochyłych równinach, co od łańcucha zachodniego spływają łagodnie ku wybrzeżom *Oceanu Spokojnego*, rozciąga się część kraju już ucywilizowana. W niej leżą prowincye ze stołecznemi miastami tegosamego nazwiska: Esmeraldas, Guayaquil, Cuenca, Loja, Riobamba, Ambato i Quito, najważniejsza całego kraju dzielnica. Zato część wschodnia Rzeczypospolitej pozostała jeszcze barbarzyńską: zamieszkują ją roje szczepów zezwierzęconych, dzikich, które dotąd *„siedzą w ciemnościach i w cieniu śmierci,“* mimo nadludzkie wysiłki licznych misyonarzy, pomiędzy którymi na pierwszem miejscu wymienić należy synów św. Franciszka z Asyżu, pierwszych zwiastunów Ewangelii św. w Ecuadorze, a wogóle w Ameryce, po odkryciu tejże przez Krzysztofa Kolumba.

Pragnąc gorąco wydobyć z ciemnoty i z barbarzyństwa rzesze dzikich szczepów, zaludniających odległe a niezmierzone puszcze wzdłuż *Amazonki* i jej dopływów, starał się poprzedni Rząd ecuadorski usilnie, by tamże osiedlili się synowie św. Ignacego, św. Dominika i *Siostry Dobrego Pasterza.* *) Dzięki tym zbożnym usiłowaniom, powstały niebawem kwitnące misye nad rzekami *Napo*, *Canelos* i *Macas*, owocem zaś opowiadania słowa Bożego przez gorliwych sług Chrystusowych, jak również założonych przez nich szkółek dla dziatwy płci obojga, jest pocieszający rozwój, jaki tam wzięła od razu cywilizacya chrześcijańska.

Ażeby jednakże tem skuteczniej poprzeć wysiłki misyonarzy i przyczynić się ile możności do tem prędszego i całkowitego rozkrzewienia Wiary naszej św. na całym obszarze tych zapadłych puszcz, uchwalili

*) Zob. *Viaggio d'esplorazione fra le tribù selvaggie dell'Equatore.* Milano, Tip. Pontif. S. Giuseppe.

*) Por. *Pismo prezydenta Rzeczypospolitej, Don Antonio* Flores, *do Ojca św.,* Leona XIII, z dnia 6go paźdz. 1888.

przedstawiciele narodu i obie Izby, zebrane na kongres, 11go sierpnia 1888 r., jednogłośnie: błagać Stolicę Apostolską, iżby we *wschodniej* części Rzeczypospolitej raczyła ustanowić cztery *wikaryaty apostolskie*, i to: 1) wikaryat *Napo*, 2) *Machas* i *Canelos*, 3) *Mendez* i *Gualaquiza* i 4) *Zamorra*, a to w ten sposób, żeby pierwszy z nich pozostawał, jak dotąd, pod zarządem Towarzystwa Jezusowego, drugi pod opieką duchowną Zakonu kaznodziejskiego, trzeci, żeby był powierzony Zgromadzeniu salezyańskiemu, czwarty zaś, żeby był oddany OO. Franciszkanom. Dodano również życzenie, żeby obowiązki *Wikaryuszów apostolskich* nie spełniali prości kapłani, lecz Biskupi tytularni (t. z. Biskupi *in partibus infidelium*), którzy posiadając pełnię władzy kapłańskiej, dodaliby temsamem pracy apostolskiej wewnętrznego ukrzepienia i siły niezwyciężonej.

Dekret ten kongresu Ecuadoru odesłano na ręce Ojca św. wraz z pismem odręcznem ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej, Antoniego FLORES, z dnia 6go października 1888 r., tchnącem szczerą pobożnością, współczuciem i miłością chrześcijańską ku dzikim szczepom Indyan, jak niemniej synowskiem przywiązaniem do Stolicy Apostolskiej.

Ojciec św., LEON XIII, który niczego tak gorąco nie pragnie, jak rozszerzenia królestwa JEZUSA CHRYSTUSA na ziemi i rozprzestrzenienia, ile możności, na wszystkie narody dobroczynnego wpływu naszej św. Wiary, oddając należne pochwały pobożności i mądrości ówczesnego rządu rzeczypospolitej Ecuador, oraz winszując mu, że okazaniem w sprawie, o którą chodzi, tak wielkiej gorliwości „*wstąpił na drogę, która prowadzi do rzeczywistej i trwałej chwały*,“ w odpowiedzi Swojej z dnia 30go stycznia 1889 r. zapewnił prezydenta FLORES, że prośba, wystosowana na Jego ręce przez rząd Ecuadoru, była przedmiotem Jego szczególniejszej troski i że już wyznaczył komisyę, złożoną z mężów biegłych i roztropnych, by sprawę należycie zbadała i z zachowaniem zwykłych form szczęśliwie ją do końca doprowadziła.

W samej rzeczy, po upływie niewielu lat, bo już 8go lutego 1893 r., Sekretaryat *św. Kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych* ogłosił dekret, ustanawiający nowy *wikaryat apostolski*, pod nazwą *Mendez y Gualaquiza*, powierzając go jednocześnie opiece duchownej Zgromadzenia salezyańskiego.

Granice tego *wikaryatu*, według dekretu św. Kongregacyi, są następujące: na północ rzeka *Apatenoma*, wpadająca do *Morony*, a ta znowu do *Marañon*; na południe rzeka *Zamorra*, poboczna *Santiago*, podobnież dopływu *Marañon*; na wschód rzeki *Morona* i *Marañon*; na zachód dyecezye Cuenca i Loja.

Granice powyższe nie są jeszcze ustalone i prawdopodobnie (jak nam o tem z wiarogodnego źródła donoszą), poczynione zostaną w podziale tych czterech *wikaryatów* jeszcze niejedne zmiany.

Miasto Cuenca leży tuż przy wstępie do nowego wikaryatu salezyańskiego. Tutaj osiedlili się synowie księdza BOSKO w marcu r. 1893, ażeby mieć punkt oparcia, gdzieby się mogli przygotować do podjęcia misyi a także schronić, gdy znużeni ciągłem przeprawianiem się to przez wysokie góry, to znowu przez gęstwiny lasów i ogromne rzeki, uczują potrzebę chwilowego wypoczynku.

Na kierownika tej ważnej misyi przeznaczony był pierwotnie nasz nieodżałowany X. Angelo SAVIO, nawykły, jak nikt, do trudów misyonarskich, lecz Panu Bogu spodobało się nam go zabrać. Niech się dzieje wola Jego święta! Po śmierci księdza SAVIO upłynęło sporo czasu, zanim na jego miejsce można było wyznaczyć innego kapłana Salezyanina, młodego, ale silnej budowy i żelaznego zdrowia, X. Franciszka SPINELLI, który pobywszy lat kilka w Quito, przeniósł się r. 1893 do naszego nowego domu w Cuenca. Za towarzysza dano mu katechetę Jacka PANCHERI, którego X. SAVIO, udając się na misye, zabrał był ze sobą z Turynu, a który przysłał nam następujący opis pierwszej wycieczki misyonarzy salezyańskich do Gualaquiza.

Cuenca, dnia 20go listopada 1893 r.

PRZEWIELEBNY I NAJDROŻSZY OJCZE,

STOKROTNE niech będą dzięki Panu Bogu i moim drogim Przełożonym za to, że raczyli mnie wybrać na towarzysza podróży księdza SPINELLI'ego w czasie jego pierwszej wycieczki do *wikaryatu Mendez y Gualaquiza*! Z sercem, przepełnionem radością, jak niemniej wdzięcznością, za tak wielką łaskę, donoszę Przewielebnemu Ojcu, że dotarliśmy do samego Gualaquiza, gdzie nas przyjęli z uniesieniem nietylko zamieszkali tamże chrześcijanie, ale nawet przebywający w pobliżu Jivaros [1]) (dzicy), z których trzech towarzyszyło nam z powrotem aż do Cuenca. [2])

Pierwsza ta nasza podróż trwała 36 dni.

---

[1]) Wymawia się *Chiwaros*.

[2]) Zob. rycinę na str. 89.

Zanim puściliśmy się w drogę i podczas gdy czekaliśmy na muły i podjezdki, jakie nam miano przypędzić z doliny Gualaquiza (gdzie je był zamówił przyjaciel nasz i *Pomocnik* salezyański Dr. D. MATOVELLE), celem zapewnienia sobie opieki Niebios w ciągu tak długiej a niebezpiecznej przeprawy, odprawiliśmy dziesięciodniowe ćwiczenia duchowne w klasztorze XX. Oblatów w Cuenca, którzy nas budowali głęboką swoją pobożnością i cnotami, jakich na każdym kroku niezbite dawali dowody. Następnie poczyniliśmy ostatnie przygotowania, a 9go października, w dniu poświęconym wielkiemu misyonarzowi Ameryki, św. Ludwikowi Bertrand, gdy już obaj XX., SPINELLI i BRUZZONE, odprawili Mszę św., dosiedliśmy częścią koni, częścią mułów, i w imię Boże ruszyliśmy w drogę. Nawiasem dodaję, że X. BRUZZONE, dyrektor tutejszego zakładu, ofiarował się nam dobrowolnie za towarzysza aż do Sigsig.

1. Z Cuenca do Gualaceo. — Szczęśliwe zabłąkanie się.

Pierwszy nocleg wyznaczyliśmy sobie w Gualaceo, tak zwanym *ogrodzie Azuay*'u, położonem o jeden dzień drogi na wschód od Cuenca. Przez pierwszych kilka godzin mieliśmy wcale dobrą drogę, ale zaledwie stanęliśmy u stóp *Kordylierów* i zaczęliśmy się na nie wspinać, przeprawa zaczęła się stawać coraz bardziej przykrą. Wązka ścieżka, wykuta w ścianie stromo sterczącej skały, służyła nam za bity gościniec, po którym posuwała się, jak mogła, nasza kawalkata. Niezadługo znaleźliśmy się w głębokim, o urwistych ścianach jarze, utworzonym przez *Gualaceo*. Głęboko w dole toczyła spienione swoje nurty ta potężna rzeka: o uszy odbijał się nam huk rozszalałych fal, który tem groźniejszem czynił nasze położenie i tem niebezpieczniejszą naszą podróż.

Tu nadmienię przy tej sposobności, że osady, jakie napotykaliśmy w tej podróży, noszą prawie wszystkie tosamo miano, co rzeka, nad którą, lub w pobliżu której są położone. Osada Gualaceo jednakże nie leży nad samym brzegiem rzeki, lecz w odległości kilkudziesięciu metrów od niej, w wysokości 2,300 metrów nad powierzchnią morza. W połowie drogi, którą właśnie przebywaliśmy, rzucono nad przepaścią most, po za którym krzyżowały się dwie ścieżki: z tych jedna prowadziła do Gualaceo. Nasz przewodnik, mniej jeszcze od nas świadomy tych okolic, skręcił na niewłaściwą drożynę, skutkiem czego ujechaliśmy spory kawał drogi całkiem napróżno. Nareszcie widząc, że tego Gualaceo jak nie widać, tak nie widać, zaczęliśmy na seryo powątpiewać, czy znajdujemy się na właściwym torze. Szczęściem dla nas napotkaliśmy jakąś chałupkę, jedyną, jaką dostrzedz było można w owej pustyni. Tam dopiero wyprowadzono nas z błędu. „Ha! cóż robić?“ rzekliśmy sobie. „Tylko popełniając błędy, można się czegoś nauczyć. Wracajmy, skądeśmy przyszli.“

—„Przepraszam, że się zapytam,“ odezwał się wtedy gospodarz domu, człek, jak to zaraz poznać było można, grzeczny i dobroduszny. „Ojcowie jesteście zapewne *Braćmi szkół chrześcijańskich*?“

—„Jesteśmy wielbicielami tych czcigodnych *Braci*, sami jednakże należymy do innego Zgromadzenia: jesteśmy misyonarzami salezyańskimi.“

—„Czy może synami księdza BOSKO? wielkiego księdza BOSKO?“

—„Do usług.“

—„Ach! z jakiem zajęciem czytam żywot tego świątobliwego męża, o który mi się postarała moja żona. Ona bowiem jest *Pomocnicą salezyańską*. Proszę bardzo, niech Ojcowie raczą zsiąść z koni i wstąpić na chwilę do chaty.“

W czasie podróży, zwłaszcza długiej i niebezpiecznej, jak nasza, niema to, jak dostać się na chwilę między przyjaciół. Zmęczeni, a dodam także, zgłodniali, ponieważ dotąd nigdześmy się po drodze nie byli zatrzymali, by się czemś posilić, nie daliśmy sobie zaprosin dwa razy powtarzać, lecz zeskoczywszy z koni, udaliśmy się natychmiast za owym poczciwcem, co swojem *„niech raczą wstąpić“* wyraził wszystko, czego w danej chwili sami mogliśmy byli pożądać. Zacna jego małżonka, rodem z Cuenca, jeszcze przed zamążpójściem zapisała się tamże była do *Związku Pomocników* i jest bardzo gorliwą *Pomocnicą salezyańską*. Pokazało się, że znała osobiście księdza BRUZZONE, obecnie zaś nie posiadała się z radości, żeśmy zmylili drogę, „ponieważ,“ jak mówiła, „w ten sposób, nawet na pustyni mogła się w czemś przysłużyć synom księdza BOSKO.“ — My również z całego serca dziękowaliśmy Opatrzności Boskiej za to niespodziewane spotkanie, a tym dwom zacnym duszom za ich gościnność, chwila bowiem wypoczynku, spędzona w ich miłem towarzystwie i wyborny posiłek, jakim nas uraczyli, pokrzepiły nasze siły do tego stopnia, że jeszcze pod wieczór tego dnia zdążyliśmy bez umęczenia dojechać do Gualaceo, a nazajutrz byliśmy gotowi do dalszej podróży w kierunku Sigsig.

W Gualaceo ofiarowano nam uprzejmie gościnę na plebanii. Zacny proboszcz tamtejszy, X. Dr. Mikołaj CISNEROS, wyraził przy tej sposobności życzenie, żebyśmy go wpisali do grona *Pomocników salezyańskich* i żebyśmy odtąd uważali go za brata, a jego dom za swój własny, ilekroć będziemy tędy przejeżdżać. Tutaj zapoznaliśmy się także z właścicielem licznych włości, a raczej kawałków gruntu i pastwisk (*entables*), w Gualaquiza, p. Jezusem VASQUEZ. — Z tej osady mamy już dwóch chłopców w naszem kolegium w Cuenca.



Trzej Jivaros,
którzy towarzyszyli misyonarzom salezyańskim do Cuenca.

2. W Sigsig. — *Matka Boska Gualaquizka.*

Nazajutrz rano, po odprawieniu Mszy św. przez XX. BRUZZONE i SPINELLI'ego, podziękowaliśmy serdecznie naszemu duchownemu gospodarzowi za gościnę, następnie zaś przedostaliśmy się na drugi brzeg *Rio Gualaceo*, aby rozpocząć, tym razem już na dobre, wdrapywanie się na górę. W Chordeleg musieliśmy się zatrzymać na chwilę, by zadowolnić poczciwego proboszcza, który, w braku czego innego, poczęstował nas kawą. Dostawszy się na przełęcz góry, skąd doskonale widzieć już było można osadę Sigsig, leżącą w kotlinie, ujrzeliśmy naraz gromadę ludzi, na koniach, jadących nam naprzeciw. Była to deputacya miasteczka, z proboszczem, X. Józefem PIEDRA, na czele, która wyruszyła na nasze spotkanie, żeby następnie wprowadzić nas tryumfalnie do Sigsig. „*Ejże, zaczynamy niedobrze,*“ rzekłem sobie w duchu na ten widok; „*po różach przyjdą niezawodnie ciernie.*“ Lecz potem, myśląc sobie, że to może Pan Bóg tak zrządził, by nas podnieść na duchu po stracie naszego nieodżałowanego księdza SAVIO, pogodziłem się z losem, odnosząc oznaki czci, jakiemi nas darzono, do Tego, w imię którego tu przybywaliśmy. Dojechawszy do miasteczka, zastaliśmy je całe w gorączkowym ruchu, przybrane z okazyi naszego przybycia jak na wielką jaką uroczystość. Łuki tryumfalne, istny deszcz kwiatów, muzyka, śpiewy tłumu dzieci, witających Salezyanów, synów księdza BOSKO, — oto jak poczciwa ludność objawiała swoją niekłamaną radość z powodu naszego przyjazdu. Zagościliśmy oczywiście znowu u X. Proboszcza, który podejmował nas z ujmującą grzecznością.

Sigsig jest ostatnią osadą chrześcijańską („cywilizowaną,“ jak się tutaj zwykle mówi), leżącą na drodze do Gualaquiza. Jadąc prostą drogą, byłoby ono tylko o jeden dzień drogi odległe od Cuenca; lecz ponieważ zamiarem naszym było także wstąpić do Gualaceo, zatem nie dziw, że potrzebowaliśmy dwóch dni. Sigsig leży na skłonie łańcucha wschodniego *Kordylierów*, a chcąc jeszcze ściślej oznaczyć jego położenie geograficzne, na skłonie góry *Matanga*. Dawno już temu, założono tam stacyę misyjną: przebywało tu stale dwóch kapłanów, którzy naprzemian dojeżdżali do Gualaquiza i zatrzymywali się tam przez kilka miesięcy. Obecnie liczy około 8,000 dusz: ludność jest w całości chrześcijańską. Wielu chrześcijan, co mieszkają z tamtej strony *Kordylierów*, rozproszeni po lasach, pochodzi z tej osady. Do Sigsig przychodzą również wszyscy mieszkańcy lasów, między którymi trafiają się niekiedy Jivaros (już nieco ucywilizowani), by zaopatrzyć się, w co potrzeba. Także z tej osady mamy dwóch chłopców w naszem kolegium w Cuenca.

W Sigsig zatrzymaliśmy się cały dzień (11^{go} paźdz.), bo trzeba było zaopatrzyć się

w wiele rzeczy, niezbędnych w czasie podróży. W taki sposób danem nam było przypatrzeć się widowisku, które nas przekonało, jak głęboką żywi wiarę i jak wielkie ma ludność nabożeństwo do Matki Najświętszej i św. Józefa. Chrześcijanie z Gualaquiza przed kilku miesiącami przysłali byli do Cuenca do naprawy dwie statuy, przedstawiające: *jedna* Matkę Boską Niepokalanie Poczętą, a *druga* św. Józefa. Pod koniec sierpnia tegoż roku pięcioro z nich (licząc w to także burmistrza), przybyło do Cuenca, by je odebrać i uroczyście przenieść do swojego miasteczka. Słysząc zaś, że my wkrótce do nich zawitamy, zaczęli na nas nalegać, byśmy wyjazd przyspieszyli, i ażeby nas tem więcej do podróży zachęcić, zapowiedzieli, że nie prędzej ruszą się wraz ze statuami z Sigsig, dopóki my tam nie przyjedziemy, udając się do Gualaquiza. Otóż mieszkańcy Sigsig, wpierw nim od siebie puścili niebieskich gości, zanieśli statuy w uroczystej procesyi, wśród śpiewów i z muzyką, z licznym orszakiem pobożnych, aż na szczyt pobliskiego pagórka, złożywszy zarazem u ich stóp swoje dary, które obecnie w Gualaquiza wcale ślicznie zdobią obydwóch niebieskich Patronów misyi.

Można sobie wyobrazić, z jakiem poczuciem bezpieczeństwa i pewnością siebie wyruszaliśmy z Sigsig, poprzedzeni tak dostojną i tak potężną strażą przednią. P. Michał Moccoso z Cuenca zobowiązał się dostarczyć nam świeżych mułów i koni; a przyjaciel nasz i dobrodziej, p. Wilhelm Vega, posiedziciel obszernych włości i pastwisk w Gualaquiza, przybył osobiście aż do Sigsig, w towarzystwie jeszcze jednego gorliwego chrześcijanina, by nas zabrać z sobą i zmusić do przyjęcia gościny w jego domu. Otrzymawszy błogosławieństwo od X. dyrektora Bruzzone, który z żalem rozestał się z nami (był bowiem zmuszony do powrotu do Cuenca), w towarzystwie dwóch wspomnianych mężów rozpoczęliśmy teraz trudną nad wyraz przeprawę przez *Kordyliery* i leśne puszcze, gęstą powłoką okrywające ich stoki.

(Ciąg dalszy nastąpi).





PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział XIII.

Rady odrzucone. — Syn i matka. — Cel wzniosły i szlachetny. — Płacz matek. — X. Bosko wraz z matką opuszcza Becchi. — Szczęśliwe spotkanie. — Przybycie do Oratoryum. — Bieda na każdym kroku, a jednak wewnętrzne zadowolenie. — Wyprawa ślubna. — Przynajęcie kilku izdebek. — Egzamina w *szkółkach niedzielnych i wieczornych*. — Odwiedziny i nagrody.

Trzy miesiące już upływały, jak X. Bosko spędzał wakacye, tyle dlań potrzebne celem zupełnego odzyskania sił, w ustronnem zaciszu w Becchi, *) na łonie swej rodziny. Jakoż dzięki wywczasowi, zdrowemu powietrzu, a zwłaszcza troskliwym staraniom i pieczy, jaką o nim mieli jego najbliżsi, można go w tym czasie było już uważać za zupełnie zdrowego. Pod koniec października, wzruszony do głębi częstemi odwiedzinami i wycieczkami, jakie do Becchi bezustannie urządzali chłopcy z Oratoryum, by go nazad sprowadzić do Turynu, naglony serdecznymi, szczerem doń przywiązaniem tchnącymi listami, w których go wprost wzywali do spiesznego powrotu do miasta, przyrzekł im (jak to wyżej widzieliśmy), że życzenia ich niezadługo spełni, a w tęsknem oczekiwaniu szczęśliwego dnia, w którym mu danem będzie słowa dotrzymać i ruszyć z powrotem do Oratoryum, wydawał mu się odtąd każdy dzień wiecznością.

Dwie jednakże przyczyny, a raczej dwa względy, trzymały go jakby na uwięzi i opóźniały wykonanie powziętego zamiaru: najpierw przedstawienia przyjaciół, którzy mu wczesny do Turynu powrót usilnie odradzali, następnie zaś nader niepomyślne warunki, w jakich była postawiona jego nowa siedziba na Valdocco.

*) Wymawia się *Bekki*.

—„Potrzeba Ci,“ pisał mu to ten, to ów z przyjaciół, „potrzeba Ci conajmniej kilka lat wypoczynku, i to zdala od Oratoryum, inaczej będzie zawsze nad Tobą wisiało niebezpieczeństwo ponownego zapadnięcia w chorobę, która Cię albo uczyni całkiem niezdatnym do pracy, albo też niechybnie wtrąci do grobu. Pozostań więc jeszcze czas jakiś u rodziny, zajmuj się rzeczami lekkiemi, a tak, odzyskawszy dawną czerstwość i siły fizyczne, będziesz mógł nanowo wystąpić jawnie i pracować skutecznie w zakresie duszpasterstwa, bez obawy ściągnięcia na się fatalnych następstw dla swojego zdrowia.“

Jeżeli się weźmie na uwagę znojną pracę, jaka go czekała w Oratoryum, a zwłaszcza, gdy się baczy na słabowite zdrowie rekonwalescenta i wogóle na świeże dotąd ślady śmiertelnej choroby, z której cotylko prawdziwym wyszedł był cudem, to rady te z pewnością nie były do odrzucenia; lecz, na szczęście, wewnętrzny jakiś a nieprzeparty popęd ciągnął księdza Bosko statecznie do rychłego podjęcia raz obranego zawodu, tj. opiekowania się młodzieżą, przyjmował więc powyższe przedstawienia z niechęcią, sprawiały mu one ból, zadawały gwałt, a nareszcie zaczął do nich czuć coś w rodzaju odrazy. Stąd, bądź ustnie, bądź piśmiennie, dziękując przyjaciołom za ich życzliwość, odpowiadał, jak Apostoł św. Paweł:

—„Pozwólcie mi iść tam, dokąd Pan mnie powołuje. On, który jest wszechmocnym, który poniża i wywyższa, potrafi wzmocnić me siły i udzieli mi niezawodnie potrzebnego na ten cel zdrowia. A chociażbym miał i uledz trudom mojego zawodu, to cóż stąd? *Nihil horum vereor, nec facio animam meam pretiosiorem, quam me.* Nie lękam się bynajmniej tego, przed czem mnie ostrzegacie, ani życie moje wyżej stawiam nad moje powołanie. Owszem, gotówem zakończyć już teraz swój zawód i położyć życie, byle z tego odniosła korzyść biedna a opuszczona młodzież.“

Widząc to jego niezłomne postanowienie i dopatrując się w niem szczególnego zrządzenia Opatrzności Boskiej, zezwolili, między innymi, kierownik duchowny naszego księdza Bosko, X. Józef Cafasso, a przedewszystkiem X. Arcybiskup Fransoni, na jego powrót do Oratoryum, zalecając mu jednakże usilnie, by przez pewien czas ograniczał się li tylko na ukazywaniu się tedy owedy pomiędzy chłopcami, na kierowaniu nimi, dawaniu im rad i zachęt, — wstrzymywał się zaś absolutnie od słuchania spowiedzi, prawienia kazań, wykładania katechizmu i t. p.

X. Bosko przyrzekł zastosować się do udzielonych wskazówek, lecz niebawem .... sami byliśmy świadkami, że pracował taksamo, jak przed chorobą. Wspominając razu pewnego o tem, co tu opowiadam, mówił:

—„Z początku miałem istotnie szczerą wolę, być posłusznym i dotrzymać danego przyrzeczenia, widząc jednakże, że X. Dr. Borel wraz z towarzyszami nie podołają wszystkiemu i że nieraz w niedziele i święta wielu chłopców nie mogło przystąpić do spowiedzi i nie było, ktoby im wykładał katechizm i miał z nimi *szkółkę niedzielną*, nie mogłem się dłużej przezwyciężyć i stać z założonemi rękami. Podjąłem zatem nanowo dawne moje zajęcia w *kaplicy świątecznej*. Od owego czasu upłynęło już 25 lat, a dotąd, dzięki Bogu, nie potrzebowałem jeszcze ani lekarzy, ani lekarstw. Stąd wnoszę, że praca, odbywana w sposób roztropny i w miarę, nie przynosi ciału żadnej szkody.“

Przełamawszy tak trudności, jakie mu stawiali arcylękliwi przyjaciele, potrzeba mu było jeszcze pokonać inną, o wiele większą i ważniejszą, przeszkodę. Zamiarem księdza Bosko było, powróciwszy do Turynu, zamieszkać stale w dzielnicy Valdocco przy *kaplicy świątecznej*. W tym celu wynajął już był w domu Pinardi'ego kilka izdebek, przylegających do *kaplicy*, lecz tymczasem dowiedział się, na jakie niebezpieczeństwa narażał pobyt w tem miejscu, jużto z przyczyny bliskości osławionego *albergo della giardiniera* (hotelu pod ogrodniczką), jużteż z przyczyny kilku sąsiadów i sąsiadek, niezbyt dobrej zażywających sławy. X. Bosko, nie mogąc na nowem pomieszkaniu mieć takiej usługi, jaką miał w zakładach markizy Barolo, potrzebował koniecznie jakiejś osoby dla zajęcia się gospodarstwem domowem, ale dla wyż wymienionych powodów nie śmiał takowej zgodzić, z obawy, by, jak się rzekło, nie wystawiać jej na niebezpieczeństwa, dające się łatwo wyobrazić. Trapił się więc z tego powodu niemało i biedził się z myślami. Kto go wywiedzie z tej niepewności? Kto mu utoruje drogę, zadanie ułatwi, gdy stanie w Turynie i zamieszka na Valdocco?

We wszystkie sprawy ważniejsze, mające na celu dobro ludzkości i zbawienie dusz ludzkich, wchodziła zawsze niewiasta. Nie tu miejsce przywodzić liczny szereg wzniosłych niewieścich postaci, które za zrządzeniem Bożem, w *Starym* i *Nowym Zakonie*, brały udział w ważnych, nawet ściśle historycznych, wypadkach i w znacznej przyłożyły się części do dokonania dzieł znakomitych, — to należy do historyi świętej i dziejów Kościoła, —

tu podniosę tylko, iż ponieważ dla nas, a wogóle dla tysięcy wychowanków Oratoryum, powstanie *kaplicy świątecznej* i *schroniska św. Franciszka Salezego*, na których wzorują się wszystkie inne, było i pozostanie wypadkiem nieobliczalnej doniosłości, nie dalibyśmy świadectwa prawdzie, gdybyśmy nie zaznaczyli, iż za sprawą Bożą tutaj niewiasty wzięły udział znamienny. Wzięły udział matki, przysyłając pilnie i regularnie swe dziatki do Oratoryum; wzięły udział panie, dając i zbierając jałmużnę i ofiary na rzecz zakładu; wzięły wreszcie udział zakonnice, które nieraz nawet po nocach pracowały na korzyść przygarniętej i w zakładzie wychowywanej młodzieży.

Lecz ponad wszystkiemi góruje jedna niewiasta, która miała w tem dziele udział pierwszorzędny, — niewiasta, co z dziwną przenikliwością pojęła wielkość i doniosłość przedsięwzięcia księdza Bosko i gotową była gwoli niego ponieść choćby największą ofiarę i poświęcenie, dając temsamem przykład i pobudkę dla innych; — niewiasta, która pierwsza na tym wybranym przez Opatrzność skrawku ziemi zatknęła wysoko sztandar miłości chrześcijańskiej na rzecz biednej i opuszczonej młodzieży, słusznie zowiącej ją swoją *matką*; — niewiasta, stojąca w tem wielkiem przedsięwzięciu na czele zastępu innych niezliczonych, które wstępowały, wstępują i wstępować będą w jej ślady może aż do końca wieków.

Tą niewiastą jest wdowa Małgorzata Bosko, matka naszego nigdy niezapomnianego Ojca. Jej życiorys skreślił, jeszcze za życia księdza Bosko, mój brat zakonny, X. Jan Lemoyne, dla mnie zaś, streszczającego dzieje naszego Oratoryum, miło będzie o niej wspominać, ile tylko razy znajdzie się do tego sposobność. W dzieje Oratoryum św. Franciszka Salezego, Małgorzata Bosko wchodzi jako nasza *matka przybrana*. Wiele rzeczy, które tu umieściłem, i wiele jeszcze innych, jakie wejdą w tok niniejszego opowiadania aż do r. 1856, roku jej śmierci, dowiedziałem się z własnych jej ust, w czasie, gdy miałem to nieocenione szczęście, przebywać w jej towarzystwie i doznawać we własnej osobie dowodów jej macierzyńskiej opieki. — Ale wróćmy do naszej opowieści.

Bardzo więc zakłopotany z przyczyny wyż wspomnianych trudności, X. Bosko, rozważywszy rzecz przed Panem Bogiem i pomodliwszy się gorąco, wziął pewnego dnia swoją matkę na stronę i odezwał się do niej w te oto słowa:

—„Postanowiłem, matko droga, powrócić do Turynu, do moich ukochanych chłopców. Odkąd nie mieszkam już w *schronisku* markizy Barolo, zdałaby mi się jaka osoba do usługi, lecz dom, gdzie myślę osiąść, położony na Valdocco, jest otoczony nienajlepszem sąsiedztwem. Stąd widzę różne niebezpieczeństwa i jestem niespokojny. Jedynie tylko wy moglibyście uwolnić mnie od wszelkiej obawy. Czybyście tedy nie zechcieli zamieszkać ze mną?“

Na te słowa świątobliwa niewiasta zamyśliła się na chwilę, poczem odrzekła:

—„Mój drogi synu, ty dobrze pojmujesz, jak ciężko mi przychodzi opuszczać tę chatę, w której tyle lat szczęśliwie i spokojnie przepędziłam, opuszczać twego brata Józefa, wnuków i wszystkich innych członków naszej rodziny; wszakże, jeśli uważasz, iż to będzie z większą chwałą Bożą, — co do mnie, jestem każdej chwili gotowa pójść z tobą.“

X. Bosko zapewnił matkę, iż jest najmocniej przekonany, że to, co zamierza przedsięwziąć, jest wolą Opatrzności, a podziękowawszy jej za gotowość poświęcenia się, dodał:

—„Musimy tedy sprawy nasze tak urządzić, iżbyśmy się mogli wybrać do Turynu zaraz po Wszystkich Świętych.“

Prawdę mówiąc, Małgorzata Bosko, opuszczając swoją chatkę w Becchi, niemałą czyniła ofiarę, ponieważ w niej była sobie jakby panią, kochaną od wszystkich, uwielbianą od wielkich i od małych, gdzie wśród ludzi swojego stanu czuła się zupełnie szczęśliwą. Lecz była to niewiasta wielkiego serca i wielkiego męstwa. Dzięki chrześcijaństwu, w najniższych życia warunkach, wpośród nędznych nawet chatek, znajdują się dusze wybrane, o których istnieniu świat nie wie i nigdy się nie dowie. Dopiero w dzień sądu ostatecznego, kiedy wszystko będzie ujawnionem, ujrzymy ich zasługi w pełnym blasku. Wtedy będziemy niezawodnie zadziwieni wielkością tych cnót ukrytych. Matka księdza Bosko była właśnie z liczby tych dusz, mniej rzadkich, niźli nam się to zwykle wydaje. Z największą gotowością ani się zawahała opuścić swoją chatę i życie spokojne na to, by pójść podzielać ciężką pracę kapłana, rozciągając opiekę nad przybraną jego rodziną.

Nie mniej bolesnem było poświęcenie ze strony członków rodziny, którzy dowiedziawszy się, iż Małgorzata ma odjeżdżać, podnieśli wielki lament. Tracili bowiem z grona swego matkę, która wiernie spełniała przepisy, jakie podaje św. Paweł w liście do Tytusa (Tit. II, 3-5): *„Stare niewiasty niech będą*

w ubiorze święttym, niepotwarliwe, niewiele wina pijące, na dobre uczące: aby młode białogłowy ćwiczyły w roztropności, żeby mężei swoje kochały, dziatki swe miłowały, roztropne, czyste, trzeźwe, o dom się starające, dobrotliwe, mężom swym poddane: aby słowo Boże nie było bluźnione.“ Lecz w tej chacie panowała święta bojaźń Pańska, przeto każdy zastanowiwszy się nad powodem, dla którego od nich odchodziła, zgadzał się z wolą Bożą i milczał.

Cel, dla którego matka ich opuszczała, był też prawdziwie wzniosłym i szlachetnym. Szła bowiem mieszkać wspólnie z synem nie na to, aby prowadzić życie przyjemne, wygodniejsze od dotychczasowego, lecz po to, aby dzielić z nim trudy i kłopoty; na to, by nieść pomoc całym setkom chłopców ubogich i opuszczonych; udawała się tam nie dla zysku doczesnego, lecz powodowana jedynie miłością Boga i bliźnich, wiedziała bowiem bardzo dobrze, iż cząstka służby Bożej, jaką sobie obrał jej syn, nietylko nie przyniesie mu żadnych dochodów, ni zysku, lecz że przeciwnie zmusi go do włożenia w nią całej sumy pracy, czasu, zdrowia i własnego mienia, a nawet znagli go jeszcze do szukania jałmużny. Ta myśl jednakże bynajmniej jej nie odstrasza; raczej podziwia odwagę i gorliwość syna i czuje się tem bardziej pobudzoną, aby mu być w tem dziele pomocnicą i naśladowniczką nierozdzielną aż do śmierci.

Szczęśliwi ci kapłani, co mają matki tak wielkoduszne!

Tymczasem po wysłaniu do Turynu szczupłego zapasu warzywa, pszenicy i kukurydzy i po uporządkowaniu spraw domowych, nadszedł dzień 3 listopada 1846 r., w którym postanowiony był odjazd.

Gdy wieść o tem rozeszła się w okolicy, nastąpiła scena, dla księdza Bosko całkiem niespodziana. Wspomniałem już raz w poprzednim rozdziale, że nawet w czasie, kiedy mu było ściśle zalecone wytchnienie po chorobie, a więc w czasie wakacyi, spędzanych w Becchi, idąc za swą nieprzepartą skłonnością zajmowania się młodzieżą, zebrał był koło siebie wielu chłopców z sąsiednich chałup i utworzył w domu matki coś w rodzaju Oratoryum. Chłopcy owi, pozyskani przezeń miłem i ludzkiem obejściem się, taką do niego powzięli miłość, iż przez cały tydzień o niczem innem nie marzyli, jak tylko o niedzieli, kiedy znowu będą z nim społem. Rodzice zaś, a w szczególności matki, widząc uciechę dzieci swoich, a co ważniejsza, skutki dobrej nauki i wychowania, bardzo byli radzi i niczego tak bardzo nie pragnęli, jak aby zacny kapłan nie opuszczał wcale swoich stron rodzinnych i tamże dalej prowadził dzieło wychowawcze, tak szczęśliwie przez siebie rozpoczęte. Aż do tej chwili nie tracili nadziei, iż tak będzie. Aż oto naraz dowiadują się, że ksiądz Bosko zabiera się od nich wraz z matką na zawsze. Udają się tedy do jego mieszkania, starając się wymową, na jaką tylko zdobyć się mogli, skłonić go do pozostania z nimi.

—„Jeśli chodzi o jakie wydatki,“ mówili, „to gotowiśmy je pokryć w całości.“

—„Ja zaś,“ zapewniała jedna z matek, „jeśli nie będę mogła dać pieniędzy, to dam zato płótna.“

—„Ja znowu,“ obiecywała inna, „będę wam przynosiła jaja i kury.“

—„Niech się ksiądz Dobrodziej nie boi,“ dodawały inne, „niech się Jegomość nie boi, my nie dopuścimy, aby Księdzu miało czego brakować i będziemy mu znosiły pszenicę, kukurydzę i co tylko będziemy miały, byle tylko Ksiądz nas nie opuszczał i nie pozbawiał takiej łaski nas i dzieci naszych.“

Widząc zaś, jak wszelkie ich prośby i nalegania żadnego nie odniosły skutku, zaczęły niektóre z owych matek i ich dzieci szlochać ku niemałej przykrości księdza Bosko.

Głośno płakały również wnuczęta Małgorzaty Bosko, widząc babkę na odchodnem, lecz mężna niewiasta, pocieszając je nadzieją, iż rychło wróci je znowu zobaczyć, wyrwała się z ich objęć i razem z synem puściła się w drogę ku Turynowi. X. Bosko niósł ze sobą brewiarz, mszał i kilka zeszytów, matka zaś kosz z bielizną i z niektóremi niedozwnemi drobnostkami. Podróż odbywali prawdziwie po apostolsku, t. j. pieszo, rozmawiając z sobą o Bogu i o niedocieczonych sprawach Jego. Stanąwszy w miasteczku Chieri, zatrzymali się na chwilę w domu adwokata Vallimberti, którego rodzina z familią Bosko w zażyłych zostawała stosunkach. Posiliwszy się tam nieco, puścili się znowu w drogę i nad wieczorem przybyli do Turynu.

Gdy już byli na tak zwanem *Rondò*, miejscu gdzie obecnie *corso Valdocco* przecina *corso Regina Margherita*, — placu, położonym niedaleko nowego mieszkania księdza Bosko, mieli szczęśliwe spotkanie, które zasługuje, aby tutaj o niem wspomnąć. Oto zeszli się z X. Dr. Janem Vola, gorliwym kapłanem turyńskim, którego imię wspominaliśmy już w niniejszej historyi Oratoryum, przychodził bowiem często do *kaplicy świątecznej*, aby księdzu Bosko pomagać.

Przywitawszy przyjaciela serdecznie i wyraziwszy mu swoją radość z powodu odzyskanego zdrowia, zapytał X. Vola:

❧

—„Coście wy tacy kurzem okryci?“

—„Bo idziemy ze wsi.“

—„A dlaczegoż idziecie pieszo?“

—„Bo nie mamy tych oto . . . .“

Tu X. BOSKO, uśmiechając się, złożył dwa palce i posuwając zlekka po otwartej dłoni lewej ręki, dawał mu do zrozumienia, iż im brakuje pieniędzy.

—„A teraz gdzie będziesz mieszkał?“

—„Ot, mam ze sobą matkę,“ odpowiedział X. BOSKO, „a mieszkać będziemy w domu PINARDI'ego tuż przy O r a t o r y u m.“

—„Ale bez posady i bez płacy jak wy będziecie mogli wyżyć w tem mieście?“

—„Zadałeś mi pytanie, na które w tej chwili nie umiem Ci odpowiedzieć. Bądź co bądź, oddajemy się w ręce Opatrzności Bożej i spodziewamy się, że nam nie odmówi Swojej pomocy.“

—„A macie tam już kogo na nowem pomieszkaniu, co na was czeka?“

—„Nie mamy nikogo.“

—„No, ale przecież pomyśleliście przynajmniej o obiedzie na dzisiaj?“

—„Cóż Ci mam powiedzieć? Musimy o nim dopiero pomyśleć. Lecz bądź spokojny . . . . . jakoś to będzie. Opatrzność Boska nikogo nie zawiodła, kto na Niej z ufnością buduje.“

—„Zapewne . . . . zapewne . . . . no, żegnam Cię. Ale, ale . . . gdybym ja był wiedział . . . gdybym ja mógł . . .“ i szukał po kieszeniach. „Naprawdę, ja Cię podziwiam,“ dodał poczciwy X. Dr. VOLA, „i pochwalam z całego serca Twoje przedsięwzięcie. Żal mi, iż nie mam przy sobie pieniędzy, lecz weźmij tymczasem to . . .“ Tak mówiąc, wyciągnął z kieszeni zegarek i wcisnął mu go do ręki.

—„Jakto?“ rzekł X. BOSKO, „chcesz się pozbyć zegarka?“

—„Mam u siebie inny. Ten możesz sprzedać i zaopatrzyć się w to, co Wam będzie najpotrzebniejsze. Niech to będzie początkiem Waszych funduszów. Ja zaś, aby powrócić do domu, nie potrzebuję wiedzieć, która godzina.“

X. BOSKO podziękował serdecznie przyjacielowi za jego dar, a zwróciwszy się do matki, rzekł:

—„Oto mamy najlepszy dowód, iż Opatrzność Boska czuwa nad nami. A więc, śmiało dalej!“

Uszedłszy kilkanaście kroków, stanęli w nowem swojem mieszkaniu. Składało się ono z dwóch pokoików sypialnych, z których jeden miał zarazem służyć za kuchnię. Umeblowanie stanowiły: dwa łóżka, dwie ławeczki, dwa stołki, kuferek, stół, garnek jeden gliniany, rądelek, szafka z kilku talerzami, a przez pierwszą noc (możemy jeszcze dodać), był także zegarek, który spieniężono nazajutrz.

Jak stąd widzimy, gdzie tylko rzuciło się okiem, z każdego kąta wyzierało ubóstwo, graniczące z nędzą.

Ten niedostatek i ta bieda, które niejednego wprawiłyby w smutek i zwątpienie, cieszyły owszem księdza BOSKO i jego zacną matkę, która zwróciwszy się do niego rzekła z uśmiechem:

—„W B e c c h i musiałam już od samego świtu krzątać się, doglądać to tu, to tam, rozkazywać, rozporządzać i pilnować porządku; tu zaś, jak widzę, mogę być o wiele spokojniejszą i mniej będę miała kłopotów.“

Potem zaraz zaczęła sobie nucić:

Dość mały kącik,
A czyste sumienie:
Bez grzechu życie,
Dobre mierne mienie.

Tymczasem niektórzy z chłopców, uczęszczających do *kaplicy świątecznej*, podsunęli się z ciekawości popod okna domu, aby zobaczyć księdza BOSKO. Słyszeli, jak wspólnie z matką śpiewał pieśń: *Angioletto del mio Dio* (Aniołku Boży). Śpiewanie to trwało dłużej, niż godzinę.

Prawdę powiedziawszy, położenie ich było nie do pozazdroszczenia. X. BOSKO, utraciwszy posadę w zakładzie markizy BAROLO, nie pobierał żadnej pensyi i musiał sam pokrywać wszystkie swoje potrzeby. A wydatków miał niemało, aby utrzymać siebie i ludzi, których pomoc była mu niezbędną. Potrzebował pieniędzy, aby zapłacić komorne, należało dostarczyć pożywienia i ubrania chłopcom ubogim, wystawionym na głód i zimno. Wielu z nich przychodziło pod jego drzwi codziennie, prosząc o chleb, obuwie, ubranie i koszule, bez czego nie mogli iść do roboty, on zaś i poczciwa matka M a ł g o r z a t a nie mogli przenieść na sobie, aby ich odprawić z niczem. To też nie dziw, że w ciągu kilku tygodni wyczerpali doszczętnie niewielki zapas żywności, sprowadzony z B e c c h i, i rozdali wszystką bieliznę, oraz ubrania, jakie przynieśli byli ze sobą. Jakżeż teraz mieli o sobie radzić dalej?

Chociaż całą swoją nadzieję położyli w „spichrzach i skarbach Opatrzności Boskiej,“ pomimo to, także sami nie zaniedbywali niczego, co tylko było w ich mocy, ażeby Jej nie przynaglać do czynienia cudów. X. BOSKO postanowił zatem sprzedać przypadającą nań część ojcowizny i sprzedał istotnie kilka kawałków pola i winnicę. A gdy i tego było za mało, kazała sobie matka M a ł g o r z a t a przysłać

z Becchi swą wyprawę ślubną, którą aż do tego czasu z największą przechowywała była starannością, jako to: suknie, pierścienie, kolczyki i korale. Otrzymawszy takową, sprzedała z niej część, a drugą obróciła na zaopatrzenie w ornaty i bieliznę kościelną kaplicy Oratoryum, znajdującej się w bardzo ubogim stanie. Za cenę korali kupiono galonki i ozdoby do ornatów.

Chociaż pobożna niewiasta bynajmniej nie była przywiązaną do błyskotek i marności tego



Małgorzata BOSKO.

świata, to jednak pozbycie się tych cennych pamiątek kosztowało ją niemało. Pewnego razu, wspominając dawne dzieje, kiedy przyszła mowa na ową chwilę, wyraziła się, jak następuje:

—„Gdym ostatni raz brała do ręki owe przedmioty i zabierałam się częścią do ich sprzedania, częścią zaś do oddania na potrzeby Oratoryum, zrobiło mi się ich wielki żal, a nawet czułam się z tego powodu wielce zaniepokojoną, lecz skorom się tylko spostrzegła, co się we mnie działo, rzekłam: Idźcie precz odemnie! gdyż nie mógłby was lepszy los spotkać, ani do czegoś godniejszego mogłybyście się przyczynić, jak do żywienia i przyodziania ubogich dzieci i służenia ku ozdobie kościoła Oblubieńca Niebieskiego.' Zdobywszy się raz na ten krok, czułam się tak zadowoloną, iż gdybym była miała jeszcze sto takich wypraw, wszystkie byłabym je oddała bez najmniejszego żalu."

Zyskawszy w taki sposób nieco grosza, był X. Bosko w możności wynająć od Pinardi'ego jeszcze kilka izdebek, które bardzo się przydały na potrzeby Oratoryum. Urządził w nich zaraz *szkoły wieczorne* i *świąteczne*. Z początku bowiem, dla braku miejsca, dwie z nich odbywały się w kuchni i w pokoju księdza Bosko; jedna w zakrystyi, inna w chórze, a jeszcze inne w samejże kaplicy. Nie potrzeba dodawać, iż wszystkie te miejsca nie były odpowiednie do celu, do jakiego miały służyć. I tak: uczniów, jak wiemy, było ogółem 300. Nieraz, nawet niechcący, wywrócili, stłukli, lub połamali tam niejeden sprzęt albo przedmiot, a szepty i rozmowy jednych, to znowu śpiewy, przychodzenie i wychodzenie drugich, sprawiały nieład i zamieszanie. Ale cóż robić, na początku trudno było zaradzić inaczej. Każdej zaś niedzieli i w każde święto przychodziło około tysiąc chłopców i od świtu aż do późnej nocy napełniali tam każdy kąt i miejsce wprawdzie wesołym, ale zawsze nieznośnym krzykiem. Można sobie wystawić, na jaką cierpliwość bywała wystawioną matka Małgorzata wśród takiego gwaru i tłoku. Zamiłowana w życiu cichem domowem, przyzwyczajona do trybu życia spokojnego, zdala odę wsi, w polu prawie otwartem, gdzie wieczory spędzała na miłej pogadance wśród grona własnej rodziny, z pewnością czuła bardzo teraźniejszą zmianę sposobu życia. Wszelako przez 10 lat przeszło nosiła ochotnym i wesołym umysłem ten wielki krzyż Pański, pocieszając się w sercu niezmierną korzyścią, jaka spływała na dusze młodzieży wskutek pracy jej syna.

Skoro tylko środki materyalne pozwoliły mu nająć do powyższych izdebek jeszcze kilka innych, urządził X. Bosko także w nich kilka klas, podzieliwszy je na oddziały, stosownie do większego lub mniejszego stopnia wykształcenia uczniów. W ten sposób można było chłopcom udzielać nauki w lepszym porządku i z większą dla nich korzyścią. Nie trwało długo, a w domu Pinardi'ego zbierało się

w *szkółkach wieczornych* i *niedzielnych* spore grono młodzieży, której liczba ogólna przeciętnie dochodziła do trzechset za każdym razem.

A więc także pod względem *frekwencyi* osiągnięto wcale pokaźne wyniki.

Po kilku miesiącach takim oto trybem udzielanej nauki w *szkółce niedzielnej*, życzył sobie X. Bosko, by uczęszczająca do niej młódź zdała publiczny egzamin z katechizmu, historyi św. i geografii biblijnej. Tym końcem zaprosił kilka znaczniejszych osobistości z Turynu, między innymi słynnego X. Aporti, posła Buoncompagni, X. Dr. Baricco, profesora Józefa Rayneri, Przełożonego *szkół chrześcijańskich*, brata Michała, i paru innych. Mężowie ci egzaminowali wychowanków z powyższych trzech przedmiotów i byli nader zadowoleni z ich odpowiedzi. Po skończonym egzaminie wyrażali się z wielkiem uznaniem o *szkółce* i udzielanej w niej nauce, zachęcali chłopców do wytrwałości i zostawili dla najpilniejszych z nich różne pamiątki i nagrody.

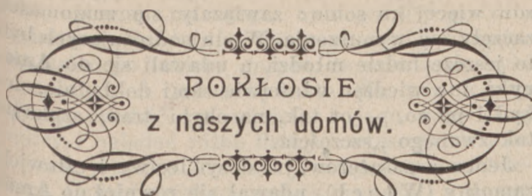
Ośmieleni tą pierwszą próbą, zdawali chłopcy niedługo potem drugi egzamin z przedmiotów, jakich się uczyli w *szkółkach wieczornych*. Tym razem akt ten odbył się w sposób bardziej uroczysty. Ponieważ o *szkółkach* księdza Bosko po całym Turynie mówiono, jako o czemś nowem i niebywałem, i wielu profesorów i znacznych osobistości często je przychodziło zwiedzać, zatem sama świetna Rada miejska zainteresowała się niemi i wysadziła z łona swego komisyę, złożoną z pp. Cotta i Capello (pospolicie zwanego *Moncalvo*) z komendatorem Józefem Duprè na czele, z poleceniem, by sprawdzili, czy wynik, rzekomo tyle pomyślny, otrzymany z owych *szkółek*, o których tak głośno w całem mieście, był oparty na rzeczywistości, czy też go sobie poprostu urojono. Panowie ci, sami zadawali chłopcom pytania w zakresie czytania, pisania, rachunków, niedawno zaprowadzonego *systemu metrycznego*, dykcyi (deklamacyi) i t. p. i nie mogli wyjść z podziwu, jakim sposobem chłopcy, już dorośli, w wieku 16-18 lat, aż do tego czasu niepiśmienni i nie umiejący zestawić ani jednego wyrazu, potrafili w tak krótkim czasie doprowadzić w nauce czytania i pisania do takiej biegłości. Sam wreszcie widok tylu dorosłej młodzieży, co zamiast wałęsać się w godzinach wieczornych po mieście, zgromadzała się w *szkółkach* księdza Bosko, by się tam odpowiednio do swojego stanu i zawodu kształcić, sprawił na komisyi Rady miejskiej głębokie wrażenie i usposobił ją jak najżyczliwiej, tak dla *szkółek*, jak również onychże kierownika. To też gdy na najbliższem posiedzeniu Rady miejskiej komisya zdała sprawę z odbytej wizytacyi i *szkółkom wieczornym* wystawiła jak najchlubniejsze świadectwo, wyznaczyła Rada *szkółkom* księdza Bosko roczne wsparcie, w sumie 300 franków (= 240 marek), które tenże pobierał aż do r. 1878, w którym to czasie zasiłek ten mu odjęto, nie podawszy powodów, dlaczego.

W tymsamym roku 1847, w którym się działy powyżej opisane wypadki, był w Turynie kierownikiem pobożnego Stowarzyszenia *La mendicità istruita*, mającego za zadanie opiekowanie się i nauczanie ubogich, zacny p. Gonella, którego poświęcenie i oddanie się całem sercem dla umiłowanej przez siebie sprawy, pozostawiły w stolicy Piemontu aż do dziś ślady niezatarte. Nasłuchawszy się tyle dziwów o *szkółkach wieczornych* w Oratoryum, przybył razu pewnego także on je zwiedzić. Zadawał osobiście chłopcom pytania, starał się zapoznać z systemem, jakiego się trzymano, i bardzo był zeń zadowolony. Administracyi swego *Stowarzyszenia* zdał wraz sprawę ze swych odwiedzin i odbytego przez siebie egzaminu, wskutek czego ta wyznaczyła jednorazową nagrodę, w sumie 1,000 franków, na rzecz *szkółek* księdza Bosko, jako wsparcie i zachętę dla jego uczniów.

W rok później (1848) zaprowadził p. Gonella w powierzonym sobie zakładzie *szkółki wieczorne* wedle metody, jakiej się trzymał X. Bosko; za jego przykładem poszła niebawem Rada miejska turyńska, w ślad za Turynem poszły inne miasta, a po upływie kilku lat rozpowszechniły się *szkółki wieczorne* już w całym Piemoncie.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





I.

San Salvador (Ameryka środkowa), styczeń 1898.

Czcigodny X. Redaktorze,

Zapewne Wiel. X. Dobrodziej dawno już oczekuje odemnie jakich wiadomości, zwłaszcza, że już sporo upłynęło czasu od dnia naszego odjazdu z **Turynu**. Życzenie to byłbym niezawodnie dawno już spełnił, gdyby moja podróż już się była ukończyła; dotąd jednakże nie stanąłem jeszcze na miejscu sobie przeznaczonem, gdyż (jak X. Dobrodziej widzi z daty listu) ciągle jeszcze przebywam w Rzeczypospolitej **San Salvador**, razem z kl. Konstantym **Kopczykiem**.

Przyczyną tego jest zawód, jaki nam zgotował statek, co nas przewiózł przez **Ocean atlantycki**: nie przybijał bowiem do żadnego takiego portu, gdzieby z wszelką pewnością napotkać było można okręt, któryby nas zawiózł do **Veracruz**, lub innej jakiej **meksykańskiej** przystani, a chociaż stamtąd, gdzie na kilka godzin był przystanął, za jakich 8 godzin można się było dostać do innego portu, skąd dosyć już było blisko do Rzeczypospolitej **meksykańskiej**, to jednak nam nie wypadało korzystać z takiej dogodności, bo **Anglicy** żądali za te 8 godzin podróży, ni mniej, ni więcej, jak po 300 franków od osoby. Zaczem nasz Przełożony i kierownik podróży, **X. Calcagno**, który jest *Inspektorem* (= prowincyałem) salezyańskim na **Amerykę** środkową, uznał za właściwe zabrać nas ze sobą do **San Salvador**, i to na jeden, lub dwa miesiące, zanim znajdzie się inny jaki okręt do **Veracruz**.

Czasu przeto niewiele stracimy, gdyż teraz są tu w **Ameryce** wakacye, a tak będziemy mieć sposobność nauczyć się, ile się da, po hiszpańsku, następnie zaś powędrujemy dalej. Nasz przyszły dyrektor, **X. Piccono**, oczekuje nas w **Meksyku** z utęsknieniem i telegrafował już tu dwa razy, ażebyśmy się co rychlej ze **San Salvador** wynosili i przybyli do niego. Jakoż po Nowym roku puścimy się niechybnie na nowo w drogę: podróż potrwa z jakie 10 dni statkiem, a drugie 10 przyjdzie nam zapewne przeprawiać się poprzez góry i lasy na koniu.

Teraz opiszę X. Dobrodziejowi naszą dotychczasową podróż i pobyt w **San Salvador**.

Wyjechawszy z **Turynu** dnia 3go listopada po południu, stanęliśmy na wieczór o 8ej godzinie w **San Pier d'Arena**, gdzie nasi tamtejsi współbracia z wielką nas przyjęli radością. Osobliwie ucieszyli się nasi dwaj klerycy Polacy, którzy tam przebywają: kl. Stefan **Duda** i kl. Antoni **Kotasiński**. Zamierzałem był pierwotnie, ile możności, oglądać dokładnie wszystkie miejscowości, przez jakie przejeżdżałem, lub gdzie mi wypadło nieco dłużej się zatrzymać; wabiła mnie zwłaszcza **Genua**, po której sobie siła obiecywałem. Tymczasem wszystko skończyło się na dobrych chęciach: przyjechałem do **Genui** wieczorem, przytem deszcz lał, jak z cebra, a i na drugi dzień pogoda nie dopisała. Trzeba więc sobie było dać święty spokój ze zwiedzaniem miasta i jego historycznych i artystycznych skarbów i pamiątek, zresztą czasu już na to nie starczyło. O 9ej bowiem godzinie rano trzeba było stawić się w porcie **genueńskim**, dokąd nas deszcz i silny wiatr niejako same zapędziły. Tam po raz pierwszy w życiu ujrzałem morze, a na niem mnóstwo statków, kołyszących się na wszystkie strony. Jeden z nich stał przy samym brzegu: był to *South America* albo *Sud America*, który miał nas przeprawić przez **Ocean atlantycki**.

Nie będę opisywał okrętu, bo to już czynili różni inni przedemną; taki opis zabrałby mi zresztą dużo miejsca i na niewiele by się przydał: trzeba okręt widzieć na własne oczy, to dopiero można o nim mieć należyte pojęcie. Powiem tylko, że na mnie wielkie zrobiły wrażenie, bądź jego ogrom, bądź urządzenie wewnętrzne.

Po dość długiem oczekiwaniu, różnych lataninach i kręceniu się na wszystkie strony, wybiła nareszcie godzina 11ta przed południem. Rozpoczęło się wsiadanie na statek. Nas zaprowadzono do salonu 1ej klasy i wyznaczono każdemu kajutę. **Salezyanie**, płynąc gdzie okrętem, czynią to zazwyczaj 2gą klasą; tak samo miało być tym razem z nami, lecz ponieważ *Sud America* 2ej klasy nie miała, tylko 1szą i 3ią, zatem wydzielono nam 1szą.

Oczywiście pierwszem zajęciem **Kopczyka** i mojem było: obejrzeć sobie dokładnie cały statek. Zwiedziliśmy go też gruntownie, zaglądając przy tej sposobności do wszystkich kątów, gdzie tylko się dało. Myszkując tak po okręcie, zajrzeliśmy także do *trzeciego* przedziału, czyli 3ej klasy: ujrzeliśmy tam mnóstwo ludzi obtarganych, a nawet dzieci na pół nagie. Bawiły się rzucaniem kawałków chleba rybom do morza. Podczas naszego biegania po całym statku spał **Dobrzyński** w najlepsze w swojej kajucie i dopiero przeraźliwy świst, jaki wydała maszyna okrętu, oznajmując nasz odjazd z przystani, postawił go na nogach. Wraz okręt począł się z lekka chwiać i powoli oddalać od brzegu. Wielu naszych współpasażerów stało na pokładzie, żegnając, może już po raz ostatni, krewnych, znajomych i przyjaciół: my **Salezyanie** oddaliśmy się w Opiekę **Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych**, ażeby nam u Pana Boga uprosiła szczęśliwą podróż, poczem zanuciliśmy na Jej cześć hymn *Ave maris stella*.

Zaczęła się podróż. Już za jakie pół godziny dawał się nam coraz bardziej we znaki chwiejny ruch statku, ból głowy wzrastał, objawy morskiej choroby stawały się coraz wyraźniejsze. Z początku

sądziłem, że chorobę tę, o której tyle się zawsze mówi, a jeszcze jej więcej obawia, zwalczę siłą woli, kierując się wskazówkami, podanemi nam przez **X. Stanisława Cynalewskiego** w jego „*Miesiącu podróży*,“ a więc ścisłą dyetą i ustawicznem przebywaniem na świeżem powietrzu, lecz bardzo prędko, bo jeszcze tegosamego popołudnia, spotkał mnie gorzki zawód: o 5ej godzinie, podczas gdy moi towarzysze udali się do sali jadalnej, to ja musiałem pozostać w kajucie. Tak było przez trzy dni z rzędu. Sądziłem pierwotnie, że to tylko ja sam cierpię na tę chorobę, lecz niezadługo przekonałem się (*solamen miseris socios habuisse malorum*), że prawie wszystkich spotkała tasama dola. Ten i ów śmiał się, zmuszony uciekać do kąta, byli jednakże i tacy, co trzymając się oburącz za głowę, to znowu za piersi lub żywot, nieledwie płakali przy wiadomej operacyi, czy funkcyi.

Trzeciego dnia podróży, o 8ej godzinie wieczorem, stanęliśmy przed **Barceloną**. Niektórzy z naszych udali się do miasta, by zwiedzić wielkie kolegium, jakie tam posiadamy, większa jednakże część pozostała na pokładzie. Na drugi dzień, o 7ej rano, ukończyło się ładowanie różnych skrzyń i pak na statek; oczekiwaliśmy tylko chwili wyjazdu. Blisko naszej *Sud America* stał na kotwicy wielki okręt **hiszpański**, nazwiskiem *Leon XIII*, który się wybierał na wyspę **Kuba**; na pokładzie miał mnóstwo żołnierzy, idących na wojnę. Przypatrywaliśmy się im z wielkiem współczuciem. Stali na pokładzie smutni i zadumani, jedni, wspominając może dom rodzicielski, drudzy, rozpamiętywując zmienne wojny koleje. Żegnali nas bardzo uprzejmie i życzyli szczęśliwej podróży, gdyśmy opuszczali przystań. Będąc już dość daleko na otwartem morzu, długo jeszcze widzieliśmy wysoki posąg **Krzysztofa Kolumba**, stojący w przystani, a oblany promieniami słońca. Twarzą zwrócony jest do portu, a prawą ręką, wspaniałym gestem, wskazuje w stronę **Ameryki**. Nareszcie wszystko znikło i tylko od czasu do czasu widzieć można było zdala brzegi wyspy, o które rozbijały się bałwany.

Piątego dnia podróży, o 2ej po południu przybiliśmy do wyspy **Gran Canaria** i wpłynęliśmy do jej portu, **Las Palmas**, gdzie nasza *Sud America* zatrzymała się kilka godzin, by nabrać węgla na dalszą podróż. Tutaj po pierwszy raz widziałem całe lasy drzew palmowych. Miasto jest dosyć wielkie, lecz czasu nie starczyło, by pójść je sobie zwiedzić: o 6ej godzinie wieczorem okręt nasz opuszczał już port i wyspę.

W dalszym ciągu podróży nie zatrzymywaliśmy się przez 10 dni z rzędu nigdzie, aż w **La Guayra** (mieście portowem na wybrzeżu rzeczyposp. **Venezueli** w południowej **Ameryce**). Odbiwszy od wysp **kanaryjskich**, widzieliśmy jeszcze przez chwilę w oddali góry **Afryki**, później wszelkie widoki od strony lądowej znikły i nic więcej widzieć się nie dawało, jak tylko niebo i woda, a jako nadzwyczajność, tedy owedy jaki rekin, lub ryby latające. Życie na statku stało się przeto nad wyraz monotonnem. Nudy, jakie wszyscy bez wyjątku odczuwaliśmy, zbliżyły pasażerów więcej ku sobie: zawiązały się znajomości, zaczęły się wynurzenia. Wielu podróżujących byli to jeszcze ludzie młodzi, a udawali się do **Ameryki**, nie wiedząc właściwie sami dokładnie, dokąd i po co, — ot tak, na chybi trafi, szukając tak zwanego „szczęścia.“

Jeden z pasażerów, już dosyć leciwy i człowiek zamożny (W ł o c h), udawał się również do **Ameryki** wraz z całą swoją rodziną, składającą się z synów i córek, już dorosłych. Pewnego wieczora wdał się w rozmowę z naszym Przełożonym. **X. Calcagno**. Rozmawiając to o tem, to o owem, dodał nareszcie:

— „Jestem już w latach, bo jak X. Dobrodziej widzi, włosy mam już siwe. Jestem dosyć bogaty i z dóbr ziemskich niczego mi nie brak; czego tylko dotychczas zapragnąłem, to zwykle otrzymałem. Całe moje życie spędziłem w szukaniu szczęścia i majątku i objechałem już świat cały. Lecz to powiadam szczerze, że jeszcze ani jednego dnia nie czułem się szczęśliwym: zawsze i ciągle mam to wrażenie, jakoby mnie coś przygniatało i jestem niespokojny. Cóż to może być takiego?“

X. Calcagno mu na to odpowiedział:

—„Ma Pan na sobie samym najlepszy dowód, iż prawdziwego szczęścia człowiek nigdy nie znajdzie w rzeczach ziemskich, i że tylko kto pożąda Pana Boga i dóbr w i e c z n y c h, z zwłaszcza kto się z Bogiem pojednał i ma sumienie czyste, słowem, kto jest wierzącym i żyje według przepisów swojej św. Wiary, ten tylko czuje się zawsze spokojnym i szczęśliwym.“

Skutkowały te słowa na podróżnym i przyrzekł, że się nad niemi zastanowi.

Było jeszcze dwóch innych, którzy mówili, że gdyby ich rodzice byli d o b r z e, to znaczy: po chrześcijańsku, wychowali, to nie byliby teraz zmuszeni opuszczać ojczyznę i nieledwie uciekać do **Ameryki**.

Wśród takich rozmów, większą częścią poważnych, czasami także pustych, po dziesięciu dniach podróży przybyliśmy do portu **La Guayra**. Było to o 8ej godzinie wieczorem. Podróży morskiej mieliśmy wszyscy już po uszy, to też z niecierpliwością oczekiwaliśmy dnia jutrzejszego, który wolno nam być miało przepędzić cały na stałym lądzie. Przyszło nareszcie rano: złote słonko wstało i blaskiem swoich promieni oświeciło ląd amerykański, nową naszą siedzibę. Gdy już most spuszczono, udała się większa część podróżnych (między nimi wszyscy Salezyanie) do miasta. Z naszego grona ubyło dwóch współbraci, udających się do **Caracas**: jednym z nich był **Dobrzyński**. Ach! jak się ten cieszył, że już stanął na miejscu swego przeznaczenia! Odprowadziliśmy ich na dworzec kolei żelaznej; o 10ej przed południem ruszyli do **Caracas**, my zaś wróciliśmy na śniadanie na statek, a o 11ej udaliśmy się znowu do miasta. Zwiedziliśmy je całe, zwłaszcza wszystkie kościoły. Tamtejsi księża bardzo się nam cieszyli i każdy nas chciał ugościć u siebie. Udaliśmy się również na cmentarz odwiedzić grób kl. Józefa **Eterno**, który to cmentarz

oddalony jest od miasta blisko 4 kilometry *). Kiedyśmy wracali na okręt, była już 7ma godzina wieczorem. Byliśmy potężnie znużeni, biegając cały dzień po takiem gorącu, że można się było wnet upiec. A jedna było to dla nas wielką uciechą, chodzić po mieście i jego najbliższej okolicy i oglądać różne dziwy, zwłaszcza drzewa i owoce, jakich nigdy jeszcze w życiu nie widzieliśmy. Ludzie, większą częścią brunatni, a nawet prawie czarni, pozdrawiali nas bardzo uprzejmie, nawet zdaleka. Odwrotnie zaś biali, z którymi się spotykaliśmy, zamiast nas pozdrowić, to jeszcze nas wyśmiewali, lub dawali brzydkie przezwiska. Byli to **Włosi**, jak to zaraz było można poznać po mowie i bezczelnem zachowaniu się; przyszli do **Ameryki** szukać szczęścia, licząc na pewne, że za rok jeden lub drugi wywiozą stamtąd kupy złota, jak *polenty*, a tymczasem minęło już lat kilka, a niektórym nawet kilkanaście, odkąd tam siedzą, a zaledwie zdołają sobie zarobić na lichą strawę.

Najwięcej zastanawiały mnie chaty, w jakich tutaj ludzie poza miastem mieszkają. Idąc na ów cmentarz, napotykaliśmy tu i owdzie chaty, zbudowane z ziemi i gliny, małe, niskie, wązkie, o dachach słomianych. Myślałem z początku, że to cegielnie, lecz przechodząc około nich, widziałem, jak z jednego otworu wylatywały z nich małe dzieci, jedno za drugiem, a wszystkie nagie. Skoro nas spostrzegły, wraz pouciekało wszystko nazad do chaty, jak króliki do swojej nory. Wewnątrz chaty pali się na środku ogień; około niego siedzi, a raczej leży, cała rodzina i piecze ryby, lub mięso z jakiego ptaka, jeżeli im się uda go złowić. Tak żyją z dnia na dzień, nie starając się o co innego, jak tylko o zaspokojenie żołądka.

Na drugi dzień pozostaliśmy wszyscy na pokładzie, przypatrując się w braku czego innego, różnym statkom, spoczywającym na kotwicy, a także bałwanom, które rozigrawszy się w najlepsze, biły tak gwałtownie o brzegi i taki sprawiały huk, że zagłuszyłyby nawet strzały armatnie. Dopiero późno wieczorem wypłynęliśmy z portu **La Guayra** i przybyliśmy nad ranem do **Gabello.** Mówiono nam, że ludność tutejsza żyje, jak jej się podoba, i że tam wieczna panuje *republika*: wszyscy bowiem chcą rządzić i rozkazywać, nikt zaś nie ma ochoty, i też nie lubi, słuchać i być poddanym. Pomimo takiej nieograniczonej wolności, jaka tam zawsze panuje, dziwno nam było, że z naszego okrętu nikogo nie chciano puścić do miasta, **X. Calcagno** jednakże, z długoletniego doświadczenia wiedząc, jak sobie z *„republikanami“* postępować, otrzymał wnet pozwolenie wylądowania, i to dla nas wszystkich. Niech żyją napówki!

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie*, rocznik I, nr. 4, str. 101.

W **Gabello** odprowadziliśmy również jednego ze współbraci na dworzec kolei żelaznej, poczem puściliśmy się w dalszą podróż. Przybyliśmy do **Corazao.** Zwiedziliśmy tu nowy dom salezyański, który ma być otwarty jeszcze tego roku. Miasto **Corazao** jest zbudowane na dwóch pagórkach, rozdzielonych wąską odnogą morską. Żeby z jednej części miasta módz przechodzić na drugą, zbudowano most na łodziach, który otwierają, ile razy ma przepływać jaki okręt. W porcie widziałem tuż przy naszej *Sud-America* chłopców murzynów, którzy ciągle przebywali we wodzie, pływając do koła statku jak ryby i wcale nie obawiając się *rekinów*, a gdy im rzucono do wody jaki pieniądz, to w mgnieniu oka rzucali się za nim aż na spód morza i wypłynąwszy na wierzch, ukazywali zdobycz z tryumfem.



Kl. Józef ETERNO.

Z **Corazao** przybyliśmy na drugi dzień do **Cartageny**, stąd zaś po trzech dniach do **Colon.** Kiedy wpływaliśmy do przystani, była już godzina 4ta po południu. Na noc nie pozwolono nam pozostać na okręcie, lecz każdy musiał sobie szukać noclegu na mieście w hotelu. My Salezyanie prosiliśmy o gościnę w szpitalu **Sióstr Miłosierdzia**, które nas z wielką przyjęły uprzejmością; w każdym razie nie ich to winą, że w nocy sen nie czepiał się naszych powiek, szpital bowiem zbudowany jest na palach, wbitych we wo-

dzie tuż na brzegu morza, i cały z drzewa, nie dziw więc, że trząsł się cały, gdy o słupy uderzały bałwany, i że rozbijające się o nie fale huczały groźnie, jak gdyby nas chciały pochłonąć.

Na drugi dzień rano, wysłuchawszy Mszy św., udaliśmy się zaraz na dworzec kolejowy. Wyruszywszy z **Colon** o godzinie 8ej rano, przybył pociąg do miasta **Panamá** o 1/2 1 w południe. Tyle czasu potrzeba, by przejechać cały ten — dawniej słynny, dzisiaj zaś osławiony — przesmyk **Panamá**, dzielący *Ocean atlantycki* od *Oceanu wielkiego*, czyli *Spokojnego*. Z okien wagonu widzieliśmy przez kawał drogi różne maszyny, narzędzia, sprzęty, wozy, taczki i t. p., resztki i ślady głośnego przedsiębiorstwa, które tak smutnego doczekało się końca. Cały ten wąski skrawek ziemi porosły jest lasem ; drzewa prawie wszystkie są owocowe. Tu i owdzie stoi jakaś chatka, zbudowana, a raczej sklecona z drzewa ; na widok zbliżającego się pociągu wychodzą z niej ludzie : są to po większej części **Indyanie**, których na pierwszy rzut oka odróżnić można od ludności napływowej po szerokiem a niskiem czole i po długich warkoczach, sięgających nieraz aż do bioder. Czaszkę mają z tyłu spłaszczoną, oczy głęboko osadzone, małe a czarne, nos długi, garbato zagięty, usta szerokie, włosy grube, czarne i bez połysku. Zarost twarzy nieznaczny, lub żaden. Kolor ich skóry jest miedziany, lub cynamonowy, wpadający niekiedy w odcień brudnożółty, lub oliwkowy.

Miasto **Panamá** oddalone jest od równika tylko o 9 stopni szerokości jeograficznej : nie dziw przeto, że gorąco jest tu nie do wytrzymania. Wiele ludzi choruje tu na *żółtą febrę*; podróżni, chcąc jej uniknąć, muszą zachowywać ściśle zalecane pod tym względem środki ostrożności. W ogólności mówiąc, choroba ta bardzo jest zdradziecka: nieraz we dwa dni, a nawet jeszcze prędzej, wyprawia ludzi na tamten świat.

W **Panamá** przenocowaliśmy w hotelu, lecz także i tu na żaden sposób spać nie było można: w tym bowiem dniu, a raczej tej nocy obchodzono tu *święto narodowe*, strzelano zatem bez miłosierdzia i puszczano rakiety przez całą noc. Gdy nareszcie zawitało rano, poszliśmy nasamprzód do kościoła, a następnie do portu. Okręt angielski, którym mieliśmy płynąć, stał już gotowy do odjazdu. Także tym razem wyznaczono nam kajuty 1ej klasy (2ej zgoła nie było, inną zaś klasą jechać — dla różnych względów i przyczyn — nie wypada duchownym). Porządek zastaliśmy tu inny, nierównie lepszy, aniżeli na poprzednim statku. Przy stole podawano nam potrawy *à la carte*, — do wyboru. Każdy wybierał sobie to, co mu najwięcej przypadało do gustu. Spis potraw skreślony był po angielsku, **Anglicy** bowiem, jak wiadomo, nie zwykli posługiwać się obcym jakim językiem, lecz swoim rodowitym, i to wszędzie i przy każdej sposobności (u nas oczywiście nie zaniedbanoby takiej okazyi, by się nie popisać słynną kuchenną francuzczyzną). Jakkolwiek w naszem gronie nie było ani jednego, któryby dobrze władał językiem angielskim, to jednak, ogółem wziąwszy, przyswoiliśmy już sobie kilkadziesiąt wyrazów angielskich i wspólnemi siłami dawaliśmy sobie rady, jak w czem innem, taksamo ze spisem, o którym mowa. Nie tak jeden z pasażerów, rodem **Włoch**. Ten nie umiejąc innego języka, jak tylko swoją „*lingua degli angeli*“ — język anielski — wziąwszy spis potraw do ręki, nie wiedział, co z tym fantem począć. Nareszcie namyśliwszy się, wskazał służącemu pierwszy rządek. Przyniósł mu rosół. Wskazał mu drugi rządek. Służący przyniósł mu jakąś zupę. Nadrabiając miną, ile się dało, jakkolwiek na wewnątrz niezawodnie klął **Anglików** i wszystko, co **angielskie**, kazał sobie podać to, co było w trzecim rządku. Znowu otrzymał zupę. Nareszcie widząc, że zaczynają na niego zwracać uwagę, a nawet szydersko się uśmiechać, pragnąc raz nareszcie skończyć z obiadem i wyjść sobie na pokład, pokazał służącemu rządek ostatni. Ten przyniósł mu wykłuwaczki do zębów. Wtenczas **Włoch** zaklął straszliwie, porwał się od stołu i z furyą wypadł ze sali, podczas gdy świadkowie tej sceny nieledwie pękali od śmiechu.

Pominąwszy ten jeden epizod, zresztą wyznać muszę, życie na statku było bardzo nudne i podróż morska już nam się sprzykrzyła, choć morze zawsze było spokojne i dosyć szybko posuwaliśmy się naprzód. Nareszcie, piątego dnia podróży, przybyliśmy do portu miasta **Libertade**. Tu był kres naszej podróży ; tutaj razem z innymi współbraćmi, przeznaczonymi do **San Salvador**, wysiadłem również ja. Na nasze spotkanie wyszło dwóch księży : jeden był proboszcz z **Libertade**, drugi zaś posłaniec X. Biskupa i prezydenta Rzeczypospolitej **San Salvador**. W **Libertade** udaliśmy się najpierw do kościoła, by Panu Bogu podziękować za szczęśliwą podróż ; przy wstępie do kościoła powitała nas kapela, ukryta gdzieś pod chórem, która później odprowadziła nas na plebanię. Tutaj, po obiedzie, zajechały dwa wielkie powozy, każdy zaprzężony w pięć koni, aby nas przewieźć w głąb kraju. Jakoż o godzinie 4ej po południu wsiedliśmy do tych landar i po drogach, pełnych wybojów i kamieni, wytrząsłszy się potężnie, zawlekliśmy się o 1ej po północy do **Santa Tecla**, miasteczka, leżącego blisko **San Salvador**. Resztę nocy spędziliśmy w pewnym hotelu, a rano, po Mszy św., wsiadłszy na pociąg, ruszyliśmy ku stolicy Rzeczypospolitej.

W **San Salvador** oczekiwało nas na stacyi kilkunastu księży i kleryków, a gdy wysiedliśmy z pociągu, witali nas bardzo mile, ciesząc się niezmiernie z naszego przybycia. Sam prezydent Rzeczypospolitej wyjechał nam naprzeciw, otoczony ministrami, i odwiózł nas we własnych powozach do X. Biskupa, który również wielce się radował, widząc długoletnie swoje życzenia nareszcie spełnione. Zatrzymał nas u siebie przez trzy dni, tj. tak długo, aż wyporządzono, jak się należy, wyznaczone nam domostwo. Czwartego dnia powozy prezydenta odwiozły nas z pompą do naszego zakładu, leżącego nieco poza miastem. Właściwie są to dwa domy, wystawione z drzewa, jednopiętrowe, długie i dosyć ładne. Przed nimi

stało, czekając naszego przybycia, blisko 100 chłopców, w białych bluzach, jedni cery czarnej, drudzy brunatnej, a wszyscy boso. Są to pierwsze kadry młodzieży, mającej od nas otrzymać wychowanie i wykształcenie. Odtąd niema takiego dnia, w którymby nie przychodzili rodzice, prowadząc chłopców za ręce i prosząc o ich przyjęcie do zakładu; niepodobna nam jednakże przyjąć wszystkich, gdyż miejsca na to nie starczy.

Zakład nasz jest wcale pięknie położony: ze wszystkich stron otaczają go ogrody, pełne drzew owocowych; pola także mamy spory kawałek, lecz potrzeba będzie jeszcze dużo pracy, zanim w domu i naokoło niego przyprowadzi się wszystko do porządku. Kaplicę, jak dotąd, mamy w jednej stancyi; niezadługo jednakże zabierzemy się do stawiania kościoła.

Na całym obszarze rzeczypospolitej **San Salvador** jest tylko jeden Biskup. Duchowieństwo *świeckie* bardzo jest nieliczne i, ze względu na potrzeby duchowne ludności, zgoła niewystarczające, duchowieństwa zaś *zakonnego*, przed naszem przybyciem, rzeczpospolita ta wcale nie znała: **Salezyanie** są dotychczas pierwszym zakonem, jaki się tu osiedlił.

Ludność tutejsza — pominąwszy półdzikich **Indyan** i *mieszańców* (tj. *mulatów* = których ojcem był biały, a matką murzynka; *kwadronów* = których ojcem był mulat, a matką biała; *mestyzów* = potomkowie ojca białego i matki Indyanki; *kreolów* = których ojcem był mestyz, a matką biała; *zambos* = pochodzący ze skrzyżowania się rasy czarnej, murzyńskiej, i miedzianej), — jestto zbieranina z całego świata. Dużo się tu napotyka **Anglików, Francuzów** i t. d., a najwięcej **Włochów**. Co trzy lata (czasami jeszcze częściej) bywa tu rewolucya; wtenczas mordują się całemi masami. Ile się zaś swoją drogą zabójstw popełnia w ciągu roku, to jednemu tylko Panu Bogu wiadomo. Tutaj tyle znaczy zabić człowieka, co u nas psa.

Co się nas tyczy, to nie możemy na nic narzekać. Bardzo nam tu wszyscy radzi, choć, co prawda, życzliwość dla duchowieństwa i zakonów w **Ameryce środkowej** i **południowej** jest jak łaska pańska, o której przysłowie polskie powiada, że *na pstrym koniu jeździ*. Dzisiaj są nam życzliwi, a w krótkim czasie, przy zmianie rządu, po zwycięstwie rewolucyi, wypędzą nas, jak z **Ecuadoru**. Przełożony domu salezyańskiego w **San Salvador, X. Calcagno**, były Przełożony kolegium naszego w **Quito**, wytransportowany stamtąd przez żołnierzy zwycięskiej rewolucyi, umiałby coś o tem opowiedzieć, a gdyby znał język polski i polskie pieśni wojskowe, mógłby sobie nucić, jak nasi ułani w 1831 r.:

> Taki los wypadł nam;
> Dzisiaj tu, jutro tam.

Jakkolwiekbądź, chwilowo dzieje nam się tu dobrze i w różnych miastach życzą sobie mocno naszego osiedlenia się. W **Santa Tecla** np. stawiają już na gwałt dla nas zakład i bardzo łatwo być może, że już po Nowym Roku ktoś z naszych tam pójdzie. Ha! cóż robić? Jak po całym świecie, taksamo w **San Salvador** sprawdzają się słowa Pana i Zbawiciela naszego: *Żniwoć jest wielkie, ale robotników mało.*

Teraźniejszy prezydent Rzeczypospolitej jest nam bardzo przychylny i często przyjeżdża nas odwiedzać. Jestto człowiek dobrej woli, katolik wierzący i praktykujący, a stara się bardzo, żeby zasady religii katolickiej zapanowały w całym kraju. Dałby Bóg, żeby te jego gorące życzenia się spełniły, a spełniwszy, ugruntowały się na zawsze.

Bądź co bądź, jak na teraz, *aura popularis* bardzo jest dla nas pomyślna: wyprawiają nam tu ciągłe festyny. Ze wszystkich stron kraiku zjeżdżają się tu muzykanci, komedyanci, grajki i kuglarze, grają nam we dnie i w nocy, puszczają ognie sztuczne, rakiety i t. p., nietylko wieczorem i przez całą noc, lecz nawet we dnie. Pierwszego dnia naszego tutaj pobytu sądziliśmy, że te ich objawy szacunku, czy przywiązania, w tak huczny i zgiełkliwy objawiane sposób, potrwają tylko przez dzień jeden, a najwyżej dwa, — a tu tymczasem jesteśmy już 3 tygodnie, a te ich uciechy się nie kończą: codzień strzelania na wiwat i wrzaski. Żyć a nie umierać w takiej rzeczypospolitej. Nie przywiązujemy jednak do nich żadnego znaczenia i nie zadziwiłoby nas bynajmniej, gdyby np. jutro wybuchła rewolucya, górę wzięli masoni, a nas rozpędzili na wszystkie wiatry, jeżeli nie wymordowali co do nogi.

Taksamo jak zmienne są i nietrwałe stosunki polityczne i społeczne w tych drobnych rzeczachpospolitych **Ameryki środkowej**, również niestałym jest samże układ fizyczny gruntu, na jakim się wznoszą. I tak: rzeczpospolita **San Salvador** liczy na swem terytoryum wiele wulkanów nieczynnych, ale dużo także pozornie tylko wygasłych. Także samež miasto stołeczne, **San Salvador**, leży między trzema wulkanami: jeden wygasł już dość dawno, dwa jednakże od czasu do czasu dymią często i wyrzucają ze siebie różne materyały. Nie dziw zatem, że bywają tu bardzo często trzęsienia ziemi. Jedno z nich nawiedziło nas zaraz 5go dnia naszego tutaj pobytu, do tego o północy. Jakiś przeciągły, podziemny huk obudził mnie: łóżko chwiało się zemną, cały budynek trzeszczał i kiwał się na wszystkie strony. Nie dziw, że domy stawiają tu z drzewa; gdyby były zbudowane z cegieł i kamieni, dawno już zawaliłyby się były wszystkie, grzebiąc ludzi pod swymi gruzami. Trzęsienie ziemi ponawia się co parę dni, nie czyni jednak na tutejszych ludziach najmniejszego wrażenia: oswoili się już, jak widać, z dowodami miłości, jakich im nie szczędzi tutejsza ziemia-matka.

Wszyscy nasi Przełożeni i współbracia, a z nimi także **Kopczyk** i ja, dzięki Panu Bogu, jesteśmy zdrowi i pracujemy, ile i jak się da. Większa część chłopców obecnie bawi na wakacyach: dopiero w lutym rozpoczną się szkoły regularne. **Kopczyk** jest asystentem i nauczycielem tych chłopców, co tutaj jeszcze pozostali, ja zaś asystentem, nauczycielem i od biedy stolarzem. Zbu-

dowaliśmy już sobie ołtarz, tabernakulum i różne sprzęty kościelne.

Miałbym jeszcze niejedno do pisania, lecz widzę, że list muszę już kończyć. Polecam się zatem wraz z **Kopczykiem** modlitwom Wiel. X. Redaktora i wszystkich **Polaków.**

II.

Coatzacoalcos (rzeczposp. Meksykańska) dnia 1go marca 1898.

CZCIGODNY X. REDAKTORZE,

ZNOWU się znajduję w podróży. Radbym wprawdzie już raz nareszcie ukończyć to włóczenie się po Bożym świecie i przybyć do **Meksyku**, lecz zapewne potrwa jeszcze z 5 albo 6 dni, zanim danem mi będzie odetchnąć swobodnie i powiedzieć: *Deo gratias*! Oto stanąłem w miejscu przeznaczonem!

Przebywam w tej chwili w **Coatzacoalcos**, mieście portowem, leżącem nad zatoką meksykańską, i czekam na statek, mający mnie przewieźć do **Veracruz**. Właściwie nie miałem teraz — będąc w podróży — zamiaru pisać do X. Redaktora (obiecywałem sobie to uczynić zaraz po przybyciu do **Meksyku**), lecz nie wiedząc już, jak spędzić chwile długiego oczekiwania, postanowiłem skreślić tymczasem choć parę słów, by uzupełnić poprzedni mój list, wysłany do X. Dobrodzieja.

W San Salvador wszystko już idzie trybem regularnym. Wakacye już się skończyły. Chłopców podzielono na gromadki i klasy i poumieszczano w różnych szkółkach i warsztatach. Masoni tamtejsi, widząc, co się święci, a zwłaszcza, że zakład coraz więcej się rozwija, zgrzytają zębami z bezsilnej złości, czekając sposobnej chwili, ażeby się na nas rzucić i wypędzić z kraju, tak jak to już zrobili w **Ecuador,** — zamiar ten wszakże nie uda im się tak prędko, przynajmniej nie za rządów teraźniejszego prezydenta Rzeczypospolitej.

Razem z **Croce**'m dopomagałem tamtejszym współbraciom naszym w ich znojnych zajęciach, ile było można, lecz ponieważ **X. Angelo Piccono** (dyrektor domu salezyańskiego w **Meksyku**) słał list za listem, a wreszcie telegrafował, żebyśmy natychmiast ruszali w drogę, opuściliśmy więc **San Salvador** 10go lutego, a we dwa dni potem wsiadaliśmy już na statek angielski w porcie **Acajutla** (leżącym nad *Oceanem Spokojnym*). Z **Acajutla** przybyliśmy do **San José**. Tutaj prawie wszyscy pasażerowie okrętu *City of Panama* wysiedli, pozostawiając nas dwóch Salezyanów samych. Przez trzy dni z rzędu zatrzymywała się tak *City of Panama* we wszystkich, nawet najmniejszych portach, jakie napotykała wzdłuż meksykańskiego wybrzeża, zabierając podróżnych, w każdym zaś pozostawała przynajmniej po dwa, lub trzy dni, zosobna. Nareszcie po dwunastu dniach podróży (tyle czasu wystarczy do przebycia całego *Atlantyku* z **Europy** do północnej **Ameryki**), przybyliśmy dnia 24go lutego do **Salina Cruz**. Jestto port wcale piękny i obszerny i mogłoby się tam wszystko podobać, gdyby nie sposób wysadzania ludzi na ląd, jaki się tam praktykuje. Ponieważ łódź, przewożąca pasażerów ze statku na ląd, nie może przybić do samego brzegu, zatem trzeba się zdecydować i wsiąść jakiemu tragarzowi „*na barana.*“ Tragarze stoją po kolana we wodzie i, co prawda, niewiele ceremonii robią z podróżnymi: każdy porywa sobie jednego podróżnego za nogi, kładzie go sobie na ramiona i umyka z ciężarem czemprędzej na brzeg. Grubasi najwięcej wyżyli strachu, ponieważ dla nich nie wystarczał jeden tragarz, lecz potrzeba było użyć do ich przeniesienia dwóch, a czasami trzech.

Wylądowawszy w takisam, co wszyscy inni, sposób i znalazłszy się na ziemi, gdy jeszcze przypatrywałem się przenoszeniu dotychczasowych towarzyszy podróży, zbliżył się do mnie jakiś człowiek i zapytał, czy się przypadkiem nie nazywam *Fietzoreque*. Gdym mu to potwierdził, oznajmił mnie i mojemu towarzyszowi, że jest Salezyaninem, wysłanym umyślnie z **Meksyku** naprzeciw przez X. dyrektora. Ucieszyliśmy się niezmiernie z tego spotkania, bo zawsze jest dobrze mieć za towarzysza podróży takiego, co już zna kraj, jego mieszkańców i ich zwyczaje. Wyruszywszy więc razem z nim ze **Salina Cruz** pociągiem osobowym, przybyliśmy o 8ej godzinie wieczorem do **Tehuantepec**. Tam udaliśmy się do X. Biskupa, *Pomocnika salezyańskiego*, uprzedzonego już o naszem przybyciu.

Oczekując pociągu kolejowego (te bowiem nie jeżdżą tu codziennie, lecz co parę dni), zatrzymaliśmy się u X. Biskupa cztery dni, w którym to czasie mieliśmy sposobność obejrzeć sobie dokładnie całe miasto. Przechodząc ulicami, pełnemi piasku, śmieci i wszelkiego nieochędóstwa, aż litość zbierała, patrząc na smutny stan mieszkań ludzkich. Prawie wszystkie domy były porozwalane i stały na pół, lub całkowicie, próżne. Kościoły były również popękane i nie do użycia: Mszy św. i nabożeństw niepodobna w nich odprawiać. Kościół katedralny stoi zamknięty, ponieważ cały jest porysowany i lada chwilę może runąć.

Wszystko to jest dziełem trzęsienia (a raczej: trzęsień) ziemi jeszcze z zeszłego roku (1897). W ostatniem półroczu było tu więcej, niż 500 — silniejszych i słabszych — ataków trzęsienia ziemi, a w jednym dniu, który najwięcej miasto zniszczył, naliczono ich 67. Kościół katedralny, w którym X. Biskup teraz pontyfikuje, znajduje się prawie za miastem, pod murem starego cmentarza, a wygląda tak: o ścianę cmentarza oparty jest ołtarz, a nad nim cztery słupy drewniane unoszą lekki dach, co ochrania gromadkę ludzi, zbierających się, bądź na Mszę św., bądź na inne nabożeństwa i funkcye kościelne, od promieni słonecznych. X. Biskup, w pierwszych dniach tego nieszczęścia, przepędzał noce, w towarzystwie dwóch kapłanów, pod drzewem, nieraz na deszczu i słocie. Ludność cisnęła się wtenczas, gdzie mogła; większa jej część porobiła sobie poza miastem chaty z trzciny, o dachu słomianym, i tam sobie mieszka, jak u nas cyganie.

Strój tutejszych ludzi jest barwny. Kobiety noszą na głowie jakby koronę, w kształcie półkoła. Suknie noszą wąskie, jak gdyby miechy, pozeszywane z różnych kawałków materyi o krzyczących kolorach. Z krajowców żaden nie chodzi w obuwiu, chociażby najzamożniejszy, lecz wszyscy boso. Nieboszczyk **X. Kneipp** niezawodnie pochwaliłby ich za ten zwyczaj. Niewiasty noszą na szyi sznury, złożone z kawałków złota, przeplatane perłami. Do kościoła na Mszę św. i inne obrządki uczęszczają po większej części tylko kobiety; do Spowiedzi św. rzadko kto chce chodzić. Powiadają tu ludzie, że dosyć na tem, kiedy się parę razy na rok w kościele pokażą, — tak nam przynajmniej opisywali swoje owieczki niektórzy tutejsi księża, z którymi się zapoznaliśmy. Wogóle zaś wielki tam i wszędzie w **Meksyku** brak kapłanów. Sam X. Biskup prawi kazania, odmawia z wiernymi Różaniec, a co piątek odprawia z nimi *drogę krzyżową*. „*Parvuli petierunt panem et non erat, qui frangeret eis* (= *pragnęły dziatki chleba, a nie było, ktoby im ułomił*), tak się wyraził słowy Pisma św., wzdychając, świątobliwy X. Biskup, wyrażając zarazem gorące swe życzenie, ażeby Salezyanie przyszli mu jak najprędzej w pomoc.

Doczekawszy się nareszcie pociągu kolejowego, wyjechaliśmy z **Tehuantepec** i po całodziennej podróży przerzuciliśmy się znowu na wybrzeże *Atlantyku*. **Coatzacoalcos**, — tak się nazywa mały **meksykański** port, gdzie obecnie stoimy, czekając na statek, mający nas przewieźć do **Veracruz**, — pełne jest **Indyan**, lecz ci noszą inne stroje i inne mają zwyczaje, aniżeli ich współplemieńcy wewnątrz kraju. Kościoła tu wcale niema, niema też ani jednego kapłana, tylko co trzy, lub cztery miesiące, przybywa tu konno pewien misyonarz, oddalony stąd o 80 kilometrów drogi, a i ten zatrzymuje się tu najwyżej j e d e n dzień, poczem udaje się w inne strony. Ach! co tu za nędza duchowna, to Pan Bóg tylko wie! Szkół również tu niema, ludność żyje, jak bydło, nie ma wyobrażenia choćby tylko o znaku krzyża świętego. Kapłanów nienawidzą w tym kraju, jak największych swoich wrogów, a biada temu z nich, któryby się odważył pokazać publicznie w sutannie! To też w całej rzeczypospolitej **meksykańskiej** nikt nie rozróżni księdza od człowieka świeckiego: strój bowiem ich jest jednakowy. Salezyanie, którzy już osiedli w **Meksyku**, gdy wychodzą na miasto, zmuszeni są podobnież przebrać się w świeckie szaty; po świecku ubranym jestem również ja wraz z obydwoma towarzyszami, odbywając tę podróż.

O tem jednakże i innych jeszcze rzeczach będę miał sposobność pisać — jeżeli Pan Bóg pozwoli — z **Meksyku**; na teraz kończę list, a prosząc gorąco o modlitwy i pozdrawiając serdecznie wszystkich rodaków,

pozostaję zawsze szczerze oddanym

Kl. Robert Wieczorek.

III.

Villa Colon (rzeczpospolita Uruguay, Ameryka połud.), styczeń 1898.

WIELEBNY KSIĘŻE DOBRODZIEJU,

Jeszcze nie stanąłem na miejscu, przeznaczonem mi od Przełożonych, tj. w **Ziemi Ognistej**; ciągle jeszcze czekam na okręt, coby nie zatrzymując się w różnych przystaniach argentyńskich, dążył wprost do *cieśniny Magellana*. Korzystając z przymusowych wakacyi, na jakie jestem skazany, napiszę Wiel. X. Redaktorowi coś o **Villa Colon** i naszym tamże zakładzie.

Kolegium salezyańskie, nazwane na cześć Ojca św., **Piusa IX**, *Colegio Pío*, w **Villa Colon**, w którem list niniejszy piszę, leży o pół godziny jazdy koleją żelazną od stolicy Rzeczypospolitej **uruguayskiej, Montevideo. Villa Colon** nie jest miastem, lecz obszerną, malowniczo położoną włością, zakupioną przez pewne *Towarzystwo akcyjne* w celach parcelacyi i odprzedawania z niej mniejszych lub większych udziałów bogatym familiom z **Montevideo** na zbudowanie letnich mieszkań i t. p. Ażeby tem prędzej kupców módz zwabić, wytknięto w różnych kierunkach piękne aleje, wysadzono je *eukalyptusami*, zbudowano kościół i wystawiono kolegium, — słowem, uczyniono wszystko, by na lato ściągnąć tu i uprzyjemnić pobyt ile możności jak najwięcej rodzinom zamożnym ze stolicy. Spekulacya wszakże ta się nie udała i *Towarzystwo* powyższe po niedługim czasie zbankrutowało, kościół jednakże i kolegium pozostały. Ofiarowano je wtenczas Zgromadzeniu salezyańskiemu, które je przyjęło i przeznaczyło na zakład dla młodzieży rodzin zamożniejszych. Ś. p. X. Biskup **Lasagna** założył tam nadto *Obserwatoryum meteorologiczne*, które niebawem nabrało pewnego rozgłosu i z bardzo wielu podobnymi zakładami w **Europie** weszło w korespondencyą.

O działalności jednakże jego i współbraci naszych, jak również o skutkach ich pracy w tych okolicach, warto rozpisać się nieco obszerniej.

Założenie, a raczej objęcie w posiadanie *Colegio Pío*, dało pohop i sposobność różnym członkom naszego Zgromadzenia salezyańskiego do uprawiania z widocznym skutkiem *nauk przyrodniczych*, takich mianowicie, których wyniki dają się w życiu praktycznem od razu zastosować i co bezpośrednio wychodzą innym na korzyść.

Nie rozpisując się więc o zbiorze motyli **X. Badariotti**'ego, — zdaniem znawców największego i najpiękniejszego nietylko w **Uruguay**, ale i w **Brazylii**, — ani też o jego odkryciu całych setek nowych owadów w strefie tropikalnej, które tak dobrze był opisał i podzielił na gromady, że różni uczeni europejscy odnośne badania i korespondencye jego wysoko sobie cenią, tak iż różne okazy nowoodkrytych żyjątek jego nazwali mianem (np. *mirmicofilus Badariottii* i t. p.); — wspominając tylko o zasługach **X. Cipriano** na polu *geologii* i *mineralogii*, jak również o doko-

nanych przez tegoż wykopaliskach i założeniu *muzeum geologiczno-mineralogicznego*, obfitującego w różne szkielety przedpotopowych zwierząt, jak niemniej w cenny i liczny zbiór *agatów* i *onyksów*; — powiem raczej coś o pracach Salezyanów i zachęcie, przez nich danej, na polu *agronomii* (= nauki o uprawie roli), *enologii* (= nauki o uprawie wina) i *meteorologii* (= nauki o stanie powietrza i jego odmianach).

Mieszkańcy rzeczypospolitej **Uruguay**, rozrzuceni w liczbie 400,000 (nie włączam oczywiście do tej cyfry 100,000 mieszkańców miasta stołecznego **Montevideo**) na ogromnej, gdyż blisko 190,000 □ klm. wynoszącej przestrzeni, przed przybyciem Salezyanów w te okolice, oddawali się wyłącznie życiu pasterskiemu i hodowaniu bydła, którego niezliczone miliony sztuk, — potomstwo 7 krów i jednego stadnika, wypuszczonych i pozostawionych tam w r. 1546, — w stanie dzikim i swojskim, zaludniają monotonne **pampas** (= stepy **argentyńskie** i **uruguayskie**) od *Kordylierów* aż do *Oceanu atlantyckiego*. Hodowanie bydła było dawniej jedynem źródłem dobrobytu tego kraju mieszkańców.

Rolnictwo i ogrodownictwo ograniczało się na uprawianiu kilku gatunków zboża i warzywa. Otrzymane zbiory nigdy nie wystarczały na zaspokojenie potrzeb nielicznej ludności, tak iż trzeba je było sprowadzać ze **Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej**.

Sposobu uprawiania i uszlachetniania wina wcale nie znano; zaledwie w ogrodach kilkunastu bogaczów napotkać można było winne szczepy, hodowane w celu użycia ich dostałych jagód przy stole na deser. Miasto starać się o rozpowszechnienie uprawy tyle pożytecznej, a w cieplejszym zwłaszcza klimacie nieledwie niezbędnej rośliny, hołdowano powszechnie zakorzenionemu przesądowi, że klimat **uruguayski** nie dopuszcza uprawy wina, że jakość gruntu nie po temu, że wszelkie zakusy i próby uprawiania byłyby próżne i t. d.

Pierwszy ś. p. X. Biskup **Lasagna** zerwał z tym przesądem. Przedewszystkiem postanowił wyrabiać sam *wino mszalne*, gdyż miał wszelkie powody do powątpiewania o czystości i prawdziwości wina, kupowanego w sklepach kupców w **Montevideo**. Zaczął nasamprzód uprawiać na polu, należącem do *Colegio Pío*, krajowe winne szczepy, hodowane po ogrodach, otrzymany jednakże owoc był zawsze wodnisty i kwaśny, jego sok więc nie mógł dać dobrego *moszczu*. Wtenczas X. Biskup sprowadził z **Francyi** i **Włoch** kilkadziesiąt gatunków winnych macic i pomiędzy niemi znalazł kilkanaście takich, co na gruncie uruguayskim nietylko znakomicie się przyjęły, ale większą jeszcze, aniżeli we własnej ojczyźnie, odznaczyły się płodnością. Szczególnie francuskie sadzonki z **Cavernais** i **Burgundyi**, uprawiane na sposób **Gujot**'a, dawały rocznie od 14-16 *kilogramów* winnych jagód każda. Było to coś tak dziwnego dla poczciwych **Uruguayczyków**, że winnica *Colegio Pío* w **Villa Colon** stała się sławną na całą Rzeczpospolitą i zewsząd zbiegano się podziwiać ją, jak ósme cudo świata.

Że zaś wino, z naszych otrzymane jagód, było i jest znakomitem, o tem świadczą medale, zyskane na wystawach w **Genui**, **Chicago** i samemże **Montevideo**. To pewna, że obecnie prawie we wszystkich kościołach **Uruguay**'u używają wina, dostarczanego ze salezyańskiej winnicy w **Villa Colon**.

Początek i przykład, dany przez Salezyanów, podziałał w pierwszej linii na emigrantów **Włochów**, nadzwyczaj licznych, tak w **Argentynie**, jak w **Uruguay**. Ze szczepów, z naszej dostarczonych winnicy, powstały w pobliżu *Colegio Pío* winnice naszych **Pomocników**, pp. **Saettone**, **Rocca**, **Pastorino** i t. d., rozwinęły się zaś w kilka lat do tego stopnia, że np. **Pastorino** dzisiaj sprzedaje corocznie za 50,000 *franków* samych winogron. To samo dzieje się w okolicach miasta **San Nicolas de los Arroyos**, dokąd X. Biskup **Lasagna** podobnież posłał był tamtejszym **Pomocnikom salezyańskim** rady i wskazówki, jak się mają wziąć do uprawy szlachetnej rośliny i sameż jej sadzonki, — skutek zaś jego zabiegów jest ten, że np. bracia **Montaldo** w **San Nicolas** otrzymują ze swych winnic rocznie przeszło 1,000 *hektolitrów* wina.

Po **Włochach** przyszła kolej na krajowców. X. Biskup zachęcił różnych rodowitych **Uruguayczyków**, zwłaszcza właścicieli obszernych włości, do zajęcia się uprawą wina, dostarczył im winnych szczepów, ludzi, znających się na uprawie i umiejących chodzić około macic i latorośli, — i tak oto powstały w okolicach **Montevideo** wielkie winnice właścicieli **Artagaveitia**, **Gallinal**, **Arocena**, **Podestá**, **Lavalle**, **Horten**, **Sienra**, **Echevarria** i setek innych, — winnice, których zbiór dochodzi do 30,50, a nawet 100,000 *miriagramów* rocznie.

Salezyanom więc wogóle, w szczególności zaś zakładowi salezyańskiemu *Colegio Pío* w **Villa Colon**, zawdzięczają: **Uruguay** wprowadzenie uprawy wina, setki właścicieli winnic: znaczne i stałe dochody, a tysiące biednych robotników wraz z rodzinami: uczciwy zarobek.

Co tu piszę, nie jest w niczem przesadzone, odnośne zaś wywody moje opierają się na rzeczywistych i niezbitych danych. Nie piszę zaś bynajmniej listu z próżnej chwalby, oraz celem wyniesienia — kosztem prawdy — Zgromadzenia, którego sam jestem członkiem, lecz głównie dla zachęty rodaków moich, kształcących się w kolegium salezyańskiem w **Ivrei**, aby ochoczo a gorliwie przykładali się do nauki agronomii i ogrodownictwa, bo ta im się niesłychanie przyda tutaj na misyach i ażeby mieli jeden dowód więcej, że łaska Boża i pomoc Najświętszej naszej Opiekunki wspiera nas widocznie, rzekłbym niemal: *namacalnie*, na każdym kroku, tak iż od nas tylko, od naszego współpracowania z łaską Bożą i wytrwałości, zależy, ażebyśmy tu w **Ameryce południowej** stali się tem, czem w wiekach średnich w środkowej **Europie** byli **Benedyktyni**, a *prawie* tem, czem nieśmiertelnej chwały i zasługi **OO. Jezuici** w zeszłym wieku byli w **Paraguay**, tj. głosicielami prawdziwej Wiary, a temsamem pionie-

rami prawdziwej, bo chrześcijańskiej, cywilizacyi.

Przejdę teraz do *Obserwatoryum meteorologicznego*, o jakiem na początku listu już raz wspominałem.

Na zjeździe geograficznym we **Wenecyi** r. 1880, któremu przewodniczył znany **Ferdynand Lesseps**, stawiono między innymi i przyjęto jednogłośnie wniosek, tyczący się Salezyanów, następującej osnowy: *Zjazd zwraca się do* **X. Bosko** *z prośbą, ażeby zachęcił swoich misyonarzy, pracujących w* **Ameryce południowej**, *iżby notowali skrzętnie ciśnienia atmosferyczne, a wogóle badali dokładnie warunki meteorologiczne stron tamtejszych, zwłaszcza zaś zjawiska, jakie się wywiązują w częściach* **Ameryki**, *najbardziej na południe wysuniętych: od* **Rio de la Plata** *aż do cieśniny* **Magellana** *i przylądka* **Hoorn**; *tam bowiem jest właściwa siedziba wichrów i orkanów, które następnie wpływają na ogólny stan atmosfery.*

Wniosek ten stawił i uzasadnił słynny astronom, **O. Denza**, zakonu **Barnabitów**, który udawszy się niedługo potem do **Turynu** dla osobistego omówienia tej sprawy z Ojcem naszym, **X. Bosko**, uzyskał od tegoż obietnicę chętnego poparcia, w miarę sił i odpowiedniego personalu, powyższej rezolucyi. Kiedy zaś w rok potem przybył do **Włoch** ówczesny ksiądz (późniejszy Biskup) **Alojzy Lasagna**, otrzymał od **X. Bosko** zlecenie zajęcia się sprawą założenia we wszystkich domach salezyańskich w **Ameryce południowej** stacyi meteorologicznych. **X. Lasagna**, ze zwykłym sobie zapałem, zabrał się natychmiast do dzieła. Wysłał misyonarza, **X. Albanello**, do **O. Denzy** do **Moncalieri** na pewien czas na kursa meteorologii i dla praktycznego obeznania się z właściwymi tej nauce przyrządami, zakupił wszystko, co było potrzebne do utworzenia obserwatoryum meteorologicznego pierwszego rzędu, a powróciwszy do **Villa Colon** zbudował tam wieżę i umieścił w niej *Obserwatoryum*. Otworzył je uroczyście, dnia 7go paźdz. 1882 r. X. Biskup (dzisiejszy kardynał) **Mario Mocenni**, internuncyusz brazylijski, chwilowo przebywający w **Montevideo**, w obecności X. Biskupa tegoż miasta i wielu dostojników Rzeczypospolitej.

Za sprawą **X. Bosko** założył także X. Biskup **Cagliero** podobneż *obserwatoryum* w **Patagones** nad *Rio Negro*, **X. Fagnano w Punta Arenas** nad *cieśniną Magellana*, **X. Tomatis w San Nicolas de los Arroyos**, X. Biskup **Lasagna** w **Paysandú** i kilku innych miejscowościach. W ten sposób życzeniu, wyrażonemu przez Zjazd geograficzny we **Wenecyi**, stało się zadość: sieć licznych stacyi i obserwatoryów meteorologicznych salezyańskich pokrywa niezmierzony szmat **Ameryki południowej** od *Rio de la Plata* aż do przylądka *Hoorn*.

Z założonych tych *stacyi* niektóre z przyczyny różnych trudności, a zwłaszcza dla braku personalu, zczasem nieco osłabły w swojej działalności, lecz obserwatoryum tutejsze w **Villa Colon** było zawsze jednakowo czynne i stało ciągle, jak stoi dziś jeszcze, na wysokości swego zadania. Że takiem jest, ma to przedewszystkiem do zawdzięczenia swemu dyrektorowi, **X. L. Morandi**'emu, który niem od blisko piętnastu lat zarządza. Co miesiąc wydaje **X. Morandi** czasopismo, pod tytułem *Boletín meteorologico* (w języku hiszpańskim), w którym oprócz dokładnych dat i zestawień dokonanych omawiają się kwestye naukowe wielkiej wagi i ogólnego znaczenia, wysyła się je zaś do wszystkich ważniejszych obserwatoryów i głównych ognisk naukowych całego świata.

Z rzadką bystrością i wielką cierpliwością zestawił dalej **X. Morandi** daty meteorologiczne od czasu założenia *Obserwatoryum* w **Villa Colon** i inne podobne dane w archiwach państwowych i na ich podstawie napisał „*Monografię opadów w rzeczypospolitej Uruguay*;" stwierdził również istnienie cztery razy w roku, w oznaczonym czasie, powtarzających się orkanów, szalejących na tutejszych wybrzeżach. Inżynier i astronom, p. **Karol Honoré**, który w pismach publicznych po kilkakroć oddał był zasłużone pochwały pracom **X. Morandi**'ego, spopularyzował to powtarzające się zjawisko pod nazwą „*prawa Morandi*'ego."

Czynią się tu już od dawnego czasu studya specyalne nad kwestyą powstawania *cyklonów*, dających się tutejszym zwłaszcza stronom tak bardzo we znaki, niszcząc zasiewy, wyrywając z korzeniami drzewa, obalając domy i zatapiając statki na morzu. Otoż **X. Morandi** był tyle szczęśliwy w tego rodzaju studyach, że nieraz na kilka godzin naprzód zdołał przewidzieć *orkan* i ostrzedz wczas, kogo należało, mianowicie władze portowe w **Montevideo**, tak iż te mogły wywiesić na znak grożącego niebezpieczeństwa chorągiew i, o ile możności, uchronić zawijające, lub wypływające z przystani okręty od niechybnego rozbicia.

Właśnie w uznaniu tych zasług naszego współbrata — istotnych, nie zaś chimerycznych — wystosował był czasu swego pułkownik **Dupuis**, komendant portu w **Montevideo**, jeszcze za życia ś. p. X. Biskupa **Lasagna**, na tegoż ręce notę urzędową, opublikowaną później z ramienia władzy we wszystkich dziennikach stolicy, w której imieniem Rządu składał dyrekcyi Obserwatoryum podziękowania za to, że wczesnem zapowiadaniem zbliżających się orkanów uratowała życie i mienie tylu żeglarzy. Podobne podziękowania i pochwały ukazują się dziś jeszcze w dziennikach stolicy uruguayskiej, a sam nawet X. Biskup montevidejski, Mgr. **Soler**, wystosował do **X. Morganti**'ego własnoręczny list pochwalny, winszując mu tylu zdobyczy naukowych i zowiąc go *el profeta de la esciencia* (= prorokiem wiedzy).

Doszło do tego, iż Rząd **uruguayski, by** tem spieszniej otrzymywać wiadomości z naszego *Obserwatoryum* w **Villa Colon**, połączył z niem urząd pocztowy w **Montevideo** za pomocą osobnego telefonu, długości 10 kilometrów. Połączenie to przysporzyło naszemu zakładowi niemało pracy i zabiera mu sporo czasu, gdyż wiele razy statki, stojące na kotwicy w porcie, skoro gęste chmury zalegną niebo, nie chcą wyruszyć na otwarte morze, nie zasięgnąwszy wprzódy rady w *Obserwatoryum* w *Colegio Pio*.

Mógłbym tu nakoniec podnieść wybitny udział

XX. **Morganti**'ego i **Zatti**'ego w przyprowadzeniu do skutku ostatniej wystawy rolniczej w **Montevideo**, a następnie w czynnościach, naradach i publicznych posiedzeniach łączącego się z nią *Zjazdu agronomów i przyrodników*, na którym byli czynnymi członkami w trzech, a sprawozdawcami w dwóch sekcyach, i t. d., lecz wszystko, co dotychczas przytoczyłem był, wystarczy, sądzę, do wyświetlenia przestarzałych, a jednak ciągle jeszcze odnawianych oszczerstw, rzucanych na zakony, a wogóle duchowieństwo, „że jest zacofanem, że zaciemnia światło, że Wiara jest nieprzyjaciółką, a w każdym razie nieprzychylnie usposobioną dla wiedzy i postępu, że podcina skrzydła geniuszowi, że niezdolna pogodzić się z cywilizacyą" i t. p. Bądź co bądź, synowie księdza **Bosko** składają ustawicznie jawne dowody, że jak z jednej strony ze wszystkich sił pracują nad rozszerzaniem królestwa Chrystusowego wśród dzikich szczepów indyańskich, tak z drugiej nie przestają trzymać wysoko wśród ludności młodych, południowo-amerykańskich republik, krzyża, godła naszego zbawienia, a zarazem godła prawdziwego postępu i cywilizacyi, i zachęcać do jego umiłowania.

Jak widzę, rozpisałem się, może nad miarę, o **Villa Colon**, jej *Obserwatoryum* i wogóle o działalności tamtejszych współbraci naszych, a nic dotąd jeszcze nie wspomniałem o **Montevideo**. O niem i jego mieszkańcach, powiem słów kilka.

Montevideo nazywa się tak od góry, leżącej naprzeciw niego (po drugiej stronie dość obszernej zatoki), a zwanej *Montevideo*, albo *Cero*. Nazwa góry pochodzi od **Magellana**, który r. 1520 płynąc tędy wzdłuż wybrzeża południowej **Ameryki**, ujrzawszy zdala jej wierzchołek, zawołał: *montem video* (= widzę górę). Miano góry przeszło następnie na miasto, w pobliżu jej założone. Liczy dzisiaj około 100,000 mieszkańców. Leży na górzystym półwyspie, a jest przeważnie zbudowane regularnie: ulice są szerokie, zazwyczaj wysadzane drzewami, przecinają się zaś pod kątem prostym. W części miasta najwyżej, tj. na szczycie wzgórza położonej, znajdują się budynki monumentalne i publiczne, jak: katedra (którą tu zowią *la Matriz*), w stylu romańskim, zbudowana, tak jak kościół **św. Piotra w Rzymie**, w formie krzyża łacińskiego z kopułą, pałac prezydenta rzeczypospolitej, ministerya, teatr i t. d. Po stronie wschodniej i zachodniej wzgórza spływają ulice zlekka ku zatoce morskiej, dość płytkiej, zatem dla małych i lekkich tylko statków przystępnej. Domy większą częścią są jednopiętrowe, a to z przyczyny dość częstych trzęsień ziemi i nadzwyczaj silnych wiatrów, wiejących od stepów (**pampas**, stąd zwanych *pamperos*), obalających i druzgocących wysokie przedmioty, jakie natrafiają.

Większą część mieszkańców **Montevideo** stanowią **Europejczycy**, albo potomkowie **Europejczyków**, zwłaszcza Włosi, Baskowie, Hiszpanie i Francuzi. Ogółem wziąwszy, ludność miejska nie odznacza się obojętnością w rzeczach Wiary, czego niestety powiedzieć nie można o tylu krajach romańskich, tak w **Europie**, jak w **Ameryce** **południowej i środkowej**: w każdym razie w kościołach napotyka się dużo mężczyzn, nie zaś same kobiety, jak gdzieindziej.

Dzieci tutejsze taksamo naprzykrzają się o medaliki i obrazki, jak np. we **Włoszech**. Idąc przez miasto nie można im się opędzić: cała gromada chłopczyków, a zwłaszcza dziewczątek, ścigała mnie nieraz, a skoro mnie dopadli, klękali na kolana ze złożonemi rękami, prosząc: *Padre! dame una stampita* (= Ojcze! daj mi obrazek!). Otrzymawszy, o co prosił, uciekał każdy z niezmierną radością do domu.

Co się tyczy koloru skóry, to mieszkańcy tutejsi są mięszani, jak we wszystkich innych krajach **Ameryki południowej**: biali, mniej lub więcej brunatni i czarni, — pierwsi jednak przeważają. Różnokolorowcy ci, w niższych zwłaszcza stanach, żyją ze sobą w niezgodzie; o lada co kłócą się i biją. Biali oczywiście uważają się za coś lepszego (tak, jak u nas Niemcy, „*superiore Race*"), kolorowych mają za coś pośledniejszego („*inferiore Race*"), co się znów tym ostatnim wcale nie podoba i na co się żadną miarą zgodzić nie chcą. Razu pewnego, mając jechać do **Villa Colon**, udałem się na stacyą *ferro-carril central*; wchodząc do poczekalni, byłem świadkiem, jak pewien czarny uchybił w czemś jakiemuś białemu. Ten zawołał z gniewem:

—„Pójdź precz, ty czarny dyable!"

Czarny bynajmniej nie myślał być mu dłużnym odpowiedzi.

—„Patrzajcie go, tego białego capa!" rzekł. „Wolę ja być sto razy czarnym, aniżeli białym, bo nie potrzebuję się myć każdodziennie, tak jak ty, ani bótów nosić. Patrz jeno, moje nogi już z natury są czarniejsze od twoich bótów," i t. d. Jak każda liszka swój ogon, tak tutaj każdy chwali kolor skóry swojego ciała.

Oświata w tutejszym kraju na bardzo niskim znajduje się stopniu, a już szkolnictwo ludowe w prawdziwie opłakanym jest stanie. Nie dziw zatem, że u ludności, nawet białej, rozrzuconej wewnątrz kraju, z dziwnymi nieraz spotkać się można zwyczajami. I tak np. kiedy umrze dziecko, to go nie chowają zaraz, lecz ustroiwszy go jak aniołka (przyprawiają mu gęsie skrzydła, na główkę kładą koronę, wieńczą go kwiatami, zielenią i girlandami), ustawiają go w stojącej postaci na podwyższeniu, zapaliwszy przed nim kilka świeczek, jak przed jakim cudownym obrazem. Następnie spraszają krewnych, sąsiadów i znajomych i odbywa się uczta, połączona z muzyką, a gdy sobie podochocą, to nawet z tańcami, — wszystko to rzekomo z uciechy, że jeden aniołek więcej poszedł do nieba. Nie dość na tem, jeden sąsiad za drugim proszą rodziców zmarłego dziecka o pożyczenie im go na jeden wieczór do siebie, aby przy tej sposobności nową urządzić stypę i tany.

—„Ojcze!" tak się skarżyła pewna *kreolka* przed jednym z naszych misyonarzy, który na wycieczce misyjnej, urządzonej w głąb kraju, zatrzymał się był w pewnej osadzie, „wyłaj moją sąsiadkę, nie chciała mi bowiem pożyczyć swojego zmarłego dziecka na wyprawienie *el velario* (*tak się nazywa*

owa *stypa, połączona z tańcami, na cześć zmarłego*), a ja to jej pożyczyłam na cały wieczór mojego **Pepito**, kiedy mi umarł dwa lata temu.“

Dość długo trwało, zanim zdziwiony misyonarz zrozumiał, o co właściwie chodziło i co to było owe „*velario*.“ Takim oto sposobem wpadł na trop szeroko rozpowszechnionego zwyczaju, nie wolnego od zabobonu, a w najwyższym stopniu zdrożnego, przeciw któremu tak on, jak wogóle wszyscy nasi misyonarze, uważali sobie za obowiązek wystąpić stanowczo i starać się o jego wykorzenienie.

Wnętrza kraju nie zaludniają (jak w innych rzeczachpospolitych amerykańskich) dzikie szczepy **indyjskie**, gdyż je tu doszczętnie wytępiono, lecz zrzadka rozsiani t. z. *gauchos* (wym. *gauczos*). Są to mieszańcy, potomkowie **Europejczyków** i krajowców. Głównem ich zatrudnieniem jest hodowanie bydła, a tu i owdzie także uprawa roli. Bydła, tak w **Uruguay**, jak w rzeczyp. **argentyńskiej**, jest niesłychane mnóstwo; w samem **Uruguay** biją go blisko *milion* sztuk rocznie, następnie solą mięso, suszą je na słońcu i w tysiącach centnarów wywożą na wszystkie strony świata. Odbywa się to w olbrzymich rzezalniach, zwanych tutaj *saladeros* (= solarniach tj. miejscach, gdzie się soli mięso). Największe *saladero*, w którem rocznie bije się 150,000 — 200,000 sztuk bydła, znajduje się w **Fray Bentos**; tam to wyrabia się słynny ekstrakt mięsny **Liebiga**.

Chów bydła i wywóz mięsa stanowi ciągle jeszcze główną podstawę bogactwa narodowego, to też w całem **Uruguay** — można powiedzieć — nic innego nie widać, jak łąki i pastwiska, na których niezliczone pasie się mnóstwo koni, krów i owiec.

Mieszkanie pastuchów (*gauchos*) i sposób ich życia jest nader prosty. Mniej więcej na środku wyznaczonego sobie pastwiska stawia sobie każdy z nich domek, ale nie z cegieł, albo kamieni, a tem mniej z drzewa (jak u nas), lecz z tłustej ziemi i gliny. Za okna i drzwi służą im większe i mniejsze otwory, za krzesła albo ławeczki: kamienie. W takich oto lepiankach żyją z całą rodziną. Gdy chcą co jeść, wtenczas rozniecają ogień w ognisku na środku chaty, rzucają nań kawał mięsa i jedzą je, na pół surowe, na pół przypalone. Wszystek dym wychodzi oknami i drzwiami, kominów bowiem niema. Za napój służy im powszechnie rodzaj herbaty, otrzymywanej z tak zwanej *herva mate*, gorzkiej jak piołun.

Pewnego razu udałem się wraz z chłopcami z naszego kolegium na dłuższą wycieczkę, oczywiście konno, gdyż tu nikt pieszo nie chodzi. Stanąwszy u kresu wycieczki i spętawszy koniom przednie nogi, zabili chłopcy dwie owce, oprawili je jako tako i rozpaliwszy ogień upiekli mięso na *gauchowski* sposób, co dowodzi, że nie są wybredni w jedzeniu; następnie wyciągnąwszy się, jak długi, na ziemi, dobyli z torebek jakieś naczynie drewniane (podobne do czajnika), wrzucili weń garść *herva mate*, zalali ukropem, wsadzili do owego „czajnika“ cewkę, podobną do cybucha od fajki, i poczęli w najlepsze odbywać *siestę*, pociągając od czasu do czasu ów odwar *mate*. Oczywiście fajkę taką ofiarowano także mnie i zaproszono do picia herbaty. Myślałem, że to będzie co dobrego i pociągnąłem z całej siły, a to był płyn tak gorzki, że aż się zakrztusiłem. Bądź co bądź, nadrabiając miną, nie dałem po sobie poznać, że ta ich herbata nieledwie mi przewraca wnętrzności i po bohatersku wypiłem wszystko. Ująłem sobie tem wielce Uruguayczyków. „Inni **Europejczycy**,“ mówili, „nie chcą zgoła pić naszego napoju, a *Señor Polaco* od razu się do niego przyzwyczaił.“

Ziemia stepowa niezmiernie jest urodzajna i nadaje się do uprawy zboża, — cóż, kiedy go tu nigdzie nie widać. Brak ten powszechny zboża jest niezawodnie przyczyną, że tak w **Uruguay**, jak wogóle w całej **Ameryce południowej**, bardzo mało się jada chleba: podstawę wszelkich pokarmów stanowi wyłącznie **mięso**. Używa go się też tu dzień w dzień, nawet w piątki i (z wyjątkiem kilku dni) w ciągu Wielkiego Postu.

Na tem kończę przydłuższe moje pisanie; następne, da Bóg, będzie już z **Ziemi ognistej**, albo gdzie z pobliża. Wiel. X. Redaktora i wszystkich Braci rodaków proszę o gorącą modlitwę, aby mi Pan Bóg pozwolił stać się prawdziwym misyonarzem i zyskać jak najwięcej dusz dla królestwa niebieskiego.

Kl. Szymon Wolny.

IV.

San Pier d'Arena (prowincya Genua, Włochy), dnia 6go kwietnia 1898.

WIELEBNY KSIĘŻE DOBRODZIEJU,

Po tak długiem milczeniu nareszcie się przebudzam z letargu, a to dlatego, iż 4go b. m. po dwóch latach spokoju miałem znowu do czynienia z emigrantami **galicyjskimi**.

Było ich niewiele (oczywiście w porównaniu z masami, jakie tu napływały kilka lat temu): wszystkiego razem 70 miejsc okrętowych, czyli około 100 osób. Skierowani są do **Kanady**, w okolice **Winipegu**; wysiądą w **Nowym Yorku**, gdzie kilkoro 18to letnich dziewcząt stale się zatrzyma. Emigranci ci płacili po 64 złr. za bilet.

W **Udine** zatrzymali się dwa dni na swój koszt, lecz niewiele wydali na utrzymanie, bo większy tam teraz nadzór ze strony policyi, aniżeli dwa lata temu. Rząd włoski, dzięki naleganiom niezmordowanego inspektora **genueńskiego** portu, wielu urzędników w **Udine** zmienił, — począwszy od szefa policyi aż do listonoszów.

P. **Malnate** (tak się nazywa inspektor, o którym mowa) jest zdania, iż się zanosi na większą emigracyę **polską**: zewsząd bowiem agenci ściągają chłopów do **Udine**, werbując ich do **Kanady**. Prawda, że jak tylko p. **Malnate** przeczuwa jakie szachrajstwo ze strony **agentów**, zaraz po mnie posyła i wtedy przesłuchujemy razem każdego emigranta zosobna, wypytując go się szcze-

gółowo: ile płacił? jak się z nim obchodzono? komu płacił? gdzie i po co jedzie? i t. d., — ale cóż z tego, kiedy naród nic pewnego przed sobą nie ma. Aż litość bierze, patrząc na niejednego z nich: niektórzy ledwie się trzymali na nogach, inni byli obdarci, nędzni, — słowem opłakany to stan tej biedy polskiej. Daj Boże, aby wszyscy, którzy tu wsiądą na okręt, szczęśliwie dojechali do **Nowegu Yorku**!

Z konsulem **austryackim** nie widziałem się już od dwóch lat; słyszałem nawet, że go mieli zmienić.

Już taki się utarł zwyczaj, że ile razy tu przybywają polscy wychodźcy, udający się do **Ameryki**, to władze portowe nasamprzód po mnie posyłają: a dopiero, gdy zajdzie jaka zawikłana sprawa, udajemy się do konsula, który dopomaga wprawdzie emigrantom **galicyjskim**, ale czyni to z musu, a najchętniejby ich wcale na oczy nie widział.

Dobrze się stało, że po ustaniu gorączki emigracyjnej **brazylijskiej**, Przełożeni nasi pozostawili mnie pomimo to w **San Pier d'Arena**: będę się starał, w miarę sił i możności, biedzie naszej **polskiej**, wyruszającej za morza, dopomagać. Sam już sądziłem, iż po ustaniu gromadnego wychodztwa do **Brazylii**, stałem się tu niepotrzebnym, tymczasem dzieje się przeciwnie. Bądź co bądź, opiekując się emigrantami, będę teraz wiedział, jak sobie postępować; zwrócę zwłaszcza baczne oko na **agentów**, wabiących naszych biedaków do **Genui** na to, aby ich złupić. Dosyć pod tym względem nabrałem doświadczenia dwa lata temu.

Polecam się modlitwom Wiel. X. Redaktora i zasyłam serdeczne pozdrowienie wszystkim braciom rodakom.

Kl. Stefan Duda.

ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Czcigodni OO. Salezyanie! Do listu niniejszego dołączam ofiarę, złożoną przez p. Emilię Bartmann z Sandkrug pod Chojnicami (Prusy Zachodnie), z usilną prośbą, aby w **„Wiadomościach salezyańskich“** była umieszczona łaska, jaką otrzymała taż Bartmannowa dla syna swego, Alojzego, za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, i wstawieniem się Jej wiernego sługi, X. Jana Bosko.

Ów Alojzy albowiem, wyszedłszy z wojska, pomimo największego starania, nie mógł dostać nigdzie posady, ani znaleść utrzymania, tak że był już istotnie na drodze, prowadzącej do zwątpienia i upadku. Dopiero gdy za nim odprawiła się nowenna do Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki (o którą Wiel. Ojców w lutym byłam prosiła), Alojzy otrzymał posadę, wrócił na drogę prawą i oddał się całem sercem w Opiekę Panu Bogu i Matce Najświętszej, za co cała jego rodzina składa z serca płynące dzięki Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych.

Lubostroń (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Olimpia Rankowicz.

***

Niżej podpisany składam nasamprzód serdeczne dzięki czcigodnym OO. Salezyanom za przyjęcie mnie do **Związku Pomocników salezyańskich** i za łaskawe przysyłanie mi **„Wiadomości salezyańskich.“** w których bardzo wiele rzeczy pożytecznych i do zbawienia duszy służących, ciągle się doczytuję.

Wspólnie z moimi dziatkami całem sercem dziękuję Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za to, że naszych próśb wysłuchać raczyła. Dzięki składam zwłaszcza za łaski otrzymane w dniach 7go i 21go lutego, a zwłaszcza 8go i 9go marca b. r. — dla mnie i mojej rodziny bardzo ważnych, — o które Najświętszą Wspomożycielkę gorąco prosiłem. Odtąd mam niezachwianą ufność w pomoc Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Chrześcijan, jak również w Najsłodszem Sercu Jezusowem, i niezłomną nadzieję, że jeżeli taka będzie wola Boża, otrzymam te łaski niebieskie, które sobie tak pragnę uprosić.

Polecam się także nadal modlitwom Waszym, czcigodni OO. Salezyanie, jak również sierot, wychowywanych w Oratoryum turyńskiem.

Raba niżnia (Galicya).

Jan Cieluszak.

***

W Najsłodszem Imieniu JEZUSA upadając do Waszych stóp, dziękuję Wam z całego serca za odprawienie nowenny na moją intencyą w Oratoryum turyńskiem. Dnia 5go lutego, w czasie Mszy św., jaka się na moją intencyę odprawiała, uwolniła mnie Najświętsza Wspomożycielka od para-

liżu, który od tak dawnego już czasu członki moje był spętał. Czułam się wtenczas tak szczęśliwą, miłość moja i wdzięczność dla potężnej Lekarki niebieskiej była tak wielka, że z radości płakałam i poczęłam wołać: „*Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych, mnie uleczyła! Jestem znowu zdrową!*“

Prawda, że częściowy paraliż po pewnym czasie znowu się u mnie zjawił, ten jednakże tłómaczę sobie w taki sposób: Najświętsza Wspomożycielka, bez żadnej wątpliwości, chce mnie uleczyć, ale żąda także, aby Ją o to jeszcze proszono.

Udaję się zatem z intencyą moją do Was ponownie, czcigodni OO. Salezyanie, — do Was i do sierot Waszych, — abyście się za mną u Najświętszej Opiekunki Zgromadzenia Waszego wstawić raczyli i w modlitwach, wspólnie z dziatwą odprawianych, nie ustawali.

Jastrzembie (Prusy Zachodnie).

Klara Friedrich.

***

Niech będzie pochwalone Najsłodsze Serce Pana Jezusa i Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Niniejszem składam serdeczne podziękowanie i zarazem nadsyłam skromną moją ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego wzamian za łaskę otrzymaną. Już od 15 lat cierpiałam na reumatyzm i inną ciężką chorobę, które mnie nieraz całkiem ubezwładniały. W ostatnich dwóch miesiącach byłam nawet zmuszoną leżeć ustawicznie w łóżku, i wtenczas-to dowiedziałam się o łaskach, wyjednywanych za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, w Oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie. Z żywą wiarą i wielką ufnością ofiarowałam się tej Najświętszej Wspomożycielce i zaraz doznałam łaski, o jaką prosiłam: boleści mnie wszystkie opuściły. Zaraz zaczęłam wstawać z łóżka i jest mi obecnie bez porównania lepiej. Czego najwięcej żałuję, to, że tak późno dowiedziałam się o OO. Salezyanach, o Oratoryum turyńskiem i największym tegoż klejnocie: obrazie cudownym Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, przed którym dziatwa salezyańska za przyczyną niebieskiej Opiekunki tyle i takie łaski wyprosić zdoła.

Upraszam najmocniej o łaskawe nadesłanie mi kilku medalików Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, o dalsze za mną modlitwy i o umieszczenie otrzymanej łaski w „**Wiadomościach salezyańskich.**“

Rydzyna (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Urszula Budzińska.

***

Wiel. OO. Salezyanom podaję ku wiadomości, że Franciszek Frytz wraz ze swoją żoną Franciszką, serdeczne składają dzięki Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za polepszenie zdrowia, które im u Swego Synaczka uprosić raczyła. Wielebnym Ojcom dziękują za modlitwy, które na ich intencyą przy Mszy św. odprawili, a o ich dziatwie przyrzekają pamiętać także nadal.

Przełajka (Górny Śląsk).

Walenty Oleś.

***

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Pierwszy swój zarobek — w sumie 6 marek — przesyłam do Oratoryum turyńskiego na odprawienie Mszy św. do Najsłodszego Serca Jezusowego i Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, z wdzięczności za wyratowanie od nieszczęścia.

Bogucice (Górny Śląsk).

Jan Swoboda.

***

Również ja zasyłam ofiarę na odprawienie Mszy św. dziękczynnych do Najsłodszego Serca Jezusowego i Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, za wyratowanie od nagłej śmierci.

Bogucice (Górny Śląsk).

Julianna Swoboda.

***

Za odebrane łaski dziękują i z wdzięcznem sercem ofiarę Najświętszej wszystkich wiernych Chrześcijan Wspomożycielce nadsyłają:

P. Szeliga z Lipin (Górny Śląsk), za wyzdrowienie męża;

Elżbieta Kozanecka z Kosowa (Wielkie Księstwo Poznańskie);

Andrzej Dyballa z Bobrku (Górny Śląsk);

Jan Czaja z Chropaczowa (Górny Śląsk);
Elżbieta Mirańska z Chropaczowa (Górny Śląsk);
Karol i Paulina Musiołowie z Chropaczowa (Górny Śląsk).

Karol Musioł ciężkie odniósł rany z poparzenia się przy pracy; uciekłszy się o pomoc do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, odzyskał zdrowie rychło, odmawiając często na Jej cześć pozdrowienie anielskie „*Zdrowaś Marya.*"

* * *

Pozdrawiam jak najserdeczniej czcigodnych OO. Salezyanów i proszę o łaskawe przyjęcie ofiary, którą załączam. Niewiele tego wprawdzie, ale pochodzi ze szczerego serca: co tylko się uczynić dało, to uczyniłem, aby coś dla Was i Waszych misyi uzbierać. Najlepiej Panu Bogu wiadomo, i to pisałem był także ostatnim razem Wielebnym Ojcom, jakie u nas ciężkie stosunki, osobliwie teraz z nadchodzącą wiosną, gdzie znów trzeba siać i sadzić, a wszystko drogo opłacać. Oby najmiłosierniejszy Pan Bóg, za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, raczył Zgromadzeniu Waszemu zawsze błogosławić i serca ludzkie natchnąć duchem świętej ofiarności do hojnych ofiar na tak wzniosłe cele Wasze, aby tak zacnemu dziełu szły jak najwięcej w pomoc.

Przy tej sposobności serdeczne składam dzięki za modlitwy o zdrowie dla mojej żony, albowiem Najświętsza Marya Panna Wspomożycielka Wiernych raczyła Waszych i Waszej dziatwy próśb wysłuchać, do Przenajświętszego Boskiego Majestatu za nami grzesznymi się wstawić i łaskę pożądaną uprosić. Po odprawieniu nowenny na naszą intencyą przez dziatwę salezyańską w Oratoryum turyńskiem, żona moja powstała z choroby i czuje się zdrową, za co serdeczne Najświętszej Pannie składamy dzięki.

Zawadzkie (Górny Śląsk).

Jacek Wąsik.

* * *

Niech będzie pochwalone Najsłodsze Serce Jezusa i Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Dziękując serdecznie za wysłuchane prośby, że mianowicie zatargi i nieporozumienia, które pomiędzy mną a pewną osobą były, od czasu, gdy się o pomoc do Najsłodszego Serca Jezusowego i Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, udałem, za odprawieniem nowenny przez dziatwę salezyańską w Oratoryum turyńskiem zupełnie ustały, — zasyłam z wdzięczności pierwszą ratę w sumie 3 marek, na cele salezyańskie, które odtąd co miesiąc na ręce Wasze posyłać będę. Proszę zaś o dalsze wstawianie się do Najsłodszego Serca Jezusowego i Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, iżby Bóg w miłosierdziu Swojem mnie i moją rodzinę od wszelkich kłopotów i nieszczęść zachować raczył.

Za tak widoczną łaskę, udzieloną mnie niegodnemu, składam jeszcze raz serdeczne dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej Wspomożycielce.

Jeżyce (Wielkie Księstwo Poznańskie).

J. Rószykiewicz z żoną.

* * *

Najserdeczniejsze składam podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za cudowne uleczenie mojej żony z bardzo niebezpiecznej choroby i dwóch córek, którym cierpienia na twarzy znacznie już ustąpiły. Polecając żonę i owe dzieci dalszym gorącym Waszym modłom, przezacni OO. Salezyanie, i Waszej dziatwy do Tej, która wszystko może przed Bogiem, załączam na cele salezyańskie ofiarę i pozostaję Was prawdziwie szczerze miłującym.

Złotowo (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Jan Józef Jasiński, nauczyciel.

* * *

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, składam publiczne podziękowanie za rozliczne otrzymane łaski, uproszone mi przez modlitwy dziatwy salezyańskiej w Oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie.

Poznań.

Bolesława Przybył.

* * *

Najsłodsze Serce Jezusowe i Najświętsza Wspomożycielka dopomogli! — Za otrzymaną łaskę i wysłuchanie prośby od Najsłodszego Serca Jezusowego za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, zasyłam ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego i polecam także nadal modlitwom Wiel. OO. Salezyanów, jak również ich dziatwy, wychowywanej w Ora-

toryum turyńskiem, siebie i całą swoją rodzinę.

Wieszowa (Górny Śląsk).

Filipina Goralczyk.

* * *

Przesyłam ofiarę na podziękowanie Najświętszej Wspomożycielce za doznaną łaskę, z prośbą o błogosławieństwo dla domu naszego.

Düsseldorf (Prowincya nadreńska).

P. Michałowska.

* * *

Na podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, posyłam na potrzeby Zgromadzenia salezyańskiego i na odprawienie Mszy św. dziękczynnej ofiarę, z prośbą, ażeby Matka Najświętsza miała mnie także nadal w Swej świętej Opiece i pocieszała w smutkach.

Bukowiec (Wielkie Księstwo Poznańskie).

S. Śliwińska.

* * *

Całem sercem składamy serdeczne dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za otrzymaną łaskę, a mianowicie za przywrócenie zdrowia naszej córce po odprawieniu nowenny. Z głębi duszy prosimy o błogosławieństwo Niebios i zdrowie dla dziatek naszych i całej rodziny, jak również o błogosławieństwo w gospodarstwie, — łaskę zaś powyższą proszę umieścić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Dwory (Galicya).

Wojciech i Rozalia Bzibziakowie.

* * *

Za nadzwyczajnie szybką pomoc w potrzebie i łaskę otrzymaną dziękując Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce, błagam także nadal o Jej Opiekę świętą.

Gdańsk (Prusy Zachodnie).

R. H.

* * *

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, składają serdeczne dzięki za otrzymane łaski na zdrowiu a zwłaszcza za uleczenie syna i córki

Dwory (Galicya).

Wawrzyniec Jędrysik wraz z żoną.

* * *

Serdecznie dziękuję Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za łaskę, którą otrzymałam jeszcze 20go października zeszłego roku. Odebrawszy z Turynu wiadomość o rozpoczęciu nowenny na moją intencyę, odprawiałam ją społem i zaraz od pierwszego dnia czułam ulgę w boleściach. Dzisiaj, za łaską Pana Jezusa a przyczynieniem się Matki Najświętszej, jestem zupełnie zdrową. Przysyłam ofiarę na Wasze potrzeby, czcigodni OO. Salezyanie, otrzymaną zaś łaskę proszę ogłosić we **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Rakowiec (Prusy Zachodnie).

Joanna Krużycka.

* * *

Składam ofiarę na intencyą podziękowania Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za wysłuchanie niegodnych próśb moich, błagając o dalsze błogosławieństwo w pełnieniu ciężkich obowiązków.

Skawina (Galicya).

Augustyn Ocetkiewicz.

* * *

Konstanty Urbanek z Górnego Śląska wyrażając serdeczne dziękczynienie Najświętszej Wspomożycielce za łaskę otrzymaną, nadsyła ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego.

* * *

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, serdeczne składamy podziękowanie za odebrane po odprawieniu nowenny łaski: w wyzdrowieniu (pierwszą), w pokaleczeniu (drugą) i w ciężkiej chorobie (trzecią). Na cele salezyańskie nadsyłamy ofiarę.

Laurahuta (Górny Śląsk).

Józef i Albina Gołębiowscy.

***

Czcigodnym OO. Salezyanom przesyłam ofiarę na kościół Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki w Turynie jako dziękczynienie za doznaną łaskę.

Królewska Huta (Górny Śląsk).

A Kaliciński.

***

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, z całego serca zanosimy dzięki za przywrócenie zdrowia naszej córce, która już tak była chora, że wyglądała jak śmierć. Po odprawieniu nowenny i Mszy św. za nią, powstała zupełnie z choroby i jest teraz zdrowa.

Królewska Nowa wieś (Górny Śląsk).

Albert Bezdok wraz z żoną.

***

I. Harder, nauczyciel wysłużony, nadsyła ofiarę in gratiarum actionem Beatissimae Virgini Mariae, Auxilio Christianorum, pro auxilio.

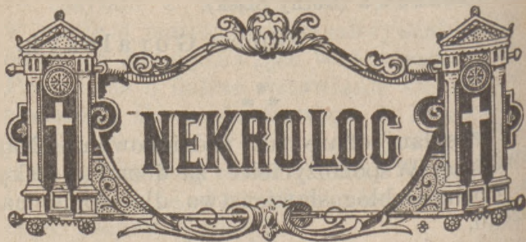
Oliwa (Prusy Zachodnie).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.





ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Białkowski P., — *Berlin*, Prusy.
Budziński Feliks, — *Rydzyna*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Budzyński L. — *Inowrocław*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Burczyk Jan — *Miechowice*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Dziembowski W., — *Poznań*.
X. Galski Marcin, wikaryusz, — *Połanka wielka*, Galicya.
Hoffmann A., — *Miłosław*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Jagodzińska Stefania, *Poznań*.
Jerszyński Marcin, — *Jarocin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Kapiszka Józefa, — *Little Falls*, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.
Klimowicz Marya, — *Lwów*, Galicya.
Kornas E., — *Jarocin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Krain Antoni, kościelny, — *Wiśnica*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Latanowicz M., — *Śrem*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Machonik Wincenty, proboszcz, — *Połomya* Galicya.
Miemiec Ludwik, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Mnich Małgorzata, — *Lubecko*, Górny Śląsk.
Polus Weronika, — *Łubnica*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Poppek Józef, *Mysłowice*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*.
Porąbka Albert, — *Plania pod Raciborzem*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Rotta Justyna, — *półwysep Hela*, Prusy Zachodnie.
(Rodzina nadesłała 78 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Skibowski, posiedziciel gruntu, — *Gr. Bertung*, Warmia.
Skierko Agnieszka, — *Borki*, Górny Śląsk.
Ślósarek Franciszek, — *Krzywiń*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Sobek Jan, nauczyciel, — *Kurnica*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 92 franki na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Świderski St., — *Poznań*.
Szymański Teofil, — *Sulmierzyce*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Weber Marya, — *Kośmider*, Górny Śląsk.
Żywicka Franciszka, — *Biała*, Prusy Zachodnie.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1898.